

Darius John Granger
(Stephen Marlowe – Milton Lesser¹)

Planeta nazywana Purpurą

(A World Called Crimson)

Amazing Stories September 1956
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novelette "A World Called Crimson" by Adam Chase (a pen name of Stephen Marlowe (Milton Lesser)), published by Project Gutenberg, June 19, 2010 [EBook #32890]

According to the included copyright notice:

"This etext was produced from Amazing Stories September 1956. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

¹ Autorem opowiadania jest Stephen Marlowe, autor który w świecie SF najbardziej znany jest pod jednym ze swoich pseudonimów literackich Milton Lesser.

Był sobie chłopiec i dziewczynka, oraz dziwna nowa planeta. Planeta rojąca się od paskudnych niebezpieczeństwa. Ale chłopiec i dziewczynka byli bardzo mali, a wszystko co chciała wiedzieć Robin, to tylko: „Kto ukradł moją lalkę?”

Kiedy w 2278 roku n.e. statek międzygwiezdny Star of Fire zderzył się z rojem meteorów, sześć parseków w kierunku północy gwiazdnej od ośrodka galaktyki, utracił swoją atmosferę w ciągu czterdziestu pięciu minut. Początkowo sądzono, że wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci spośród czterech tysięcy stu sześćdziesięciu sześciu obecnych na pokładzie, zginęli w tej największej ze wszystkich katastrof międzygwiezdných. Ale jak to zostało wykryte dwadzieścia lat później przez wyprawę Purcella, nie do końca było to prawdą (Patrz PURCELL).

– z Annałów Kosmosu, t. 12

To ten paskudny mały chłopak, z pokładu B, ukradł jej lalkę. Nienawidziła go za to. Był po prostu okropny. Wyślizgnęła się ze swojej kabiny, kiedy Mama i Tata przebierali się do kolacji. Chciała znaleźć tego okropnego małego chłopaka na pokładzie B. Najchętniej wydrapałaby mu oczy.

Nazywała się Robin Sinclair i miała pięć lat. Była dostatecznie mocno rozgniewana, żeby wyrzucić tego chłopaka z pokładu B za burtę statku, prosto w kosmos. Tyle że nie za bardzo wiedziała, jak się za to zabrać.

Pokonała zejściówkę i znalazła się na pokładzie B. Ludzie tam ubierali się zupełnie inaczej. Jakoś, kolory nie były równie jasne ani ubrania takie ładne. W oczach pięcioletniej dziewczynki, była to najważniejsza różnica, zwłaszcza dla niej, która lubiła wodzić palcami po pięknych syntetykach, i która miała nawet swój ulubiony kolor. Jej ulubionym kolorem był purpurowy.

– Praszam pana. Widział pan małego chłopaka z lalką w purpurowej sukience?

Uśmiechnął się. Ale ona była śmiertelnie poważna.

– Ja jej naprawdę nie mam, młoda damo.

Przez chwilę kręciła się bez celu po pokładzie B. Widziała dwóch małych chłopców, ale to nie byli ci właściwi. Teraz, wydymając wargi, niemal we łzach, była na skraju poddania się. Mama i Tata, mogą jej kupić nową lalkę. Mama i Tata, byli chyba bogatsi od wszystkich innych, co nie?

W tym momencie, zupełnie nagle, zauważyła go. Właśnie zniknął jej z zasięgu wzroku, niemal tuż przed nosem. Pod ręką trzymał lalkę w purpurowej sukience, jej ulubioną lalkę.

– Hej! – zawołała. – Hej ty, zaczekaj na mnie!

Jej małe stopy zadudniły po schodach, kiedy pogoniła z powrotem zejściówką. Gdy dobiegła do opalizujących drzwi w grodzi, otworzył je dla niej elektryczny automat. Nigdy jeszcze nie przechodziła tą drogą. Nie była tak jasna i czysta, jak reszta statku. W ogóle nie zauważyła znaku, oznajmającego: PASAŻEROM WEJŚCIE WZBRONIONE. A w każdym razie, nawet gdyby, to ledwie umiała czytać.

Gdzieś z przodu, po raz kolejny, mignęła jej postać chłopca, i ruszyła za nim, akurat w chwili, kiedy zniknął za zakrętem korytarza. Krzycząc, żeby się zatrzymał, dobiegła do zakrętu i znowu zobaczyła go nieco dalej, przed sobą. Odwrócił do tyłu głowę, pokazał jej język i uciekał dalej.

I właśnie wtedy cały świat zadrżał szaleńczo się, tak jakby miał zamiar rozpaść się na drobne kawałki.

Wszędzie dookoła rozdźwięczały się dzwonki alarmowe. Ostro świstały gwizdki. Po paru chwilach, we wszystkich kierunkach zaczęli biegać umundurowani ludzie. Robin Sinclair, nagle poczuła, że jest bardzo wystraszona. Chciała wracać na pokład A, do swojej Mamy i Taty, ale kiedy biegła śladem chłopca, ten skręcał wiele razy, zmieniając korytarze. Teraz była przekonana, że gdyby spróbowała wycofać się tą samą drogą, tylko by się zupełnie zgubiła. Popatrzyła przed siebie. Chłopiec wydawał się być pewien, że porusza się dobrą drogą. Ruszyła więc za nim. Ale teraz była już naprawdę na niego wściekła. To była jego wina, że znalazła się daleko od Mamy i Taty, kiedy zdarzyła się taka straszna rzecz.

Umundurowani marynarze, przez cały czas biegali dookoła. Słyszała urywki rozmów, z których niewiele rozumiała.

- Próbuja to jakoś załatać...
- Cała rufowa część statku. Szybko tracimy powietrze...
- Szalupy ratunkowe. Byłem tam dosłownie przed chwilą. Wszystkie, co do ostatniej. Zniknęły. Meteor wyrzucił je prosto w kosmos.
- Jeżeli nie będziemy w stanie naprawić uszkodzeń...

I, w końcu, jeden z ludzi, z taką twarzą, że aż budziła strach.

- Łaty nie wytrzymają. Tracimy powietrze szybciej, niż możemy je zastępować. Lepiej zawiadomcie kapitana.

Wkrótce pojawił się pośpiesznie, jakiś pan, obwieszony mnóstwem złotych łańcuchów. Wyglądał szalenie dystyngowanie, ale był stary. O Boże, on musi być naprawdę stary, pomyślała sobie Robin. Wyglądał na równie starego, co jej dziadek.

- Panie kapitanie! Tracimy za dużo powietrza. Nie jesteśmy w stanie go zastępować.

- A więc, proszę przygotować się do ewakuacji statku.

- Ależ, sir, wszystkie szalupy zostały zniszczone!

- Nie ma szalup? Nie ma szalup!

W tym momencie, chłopak ponownie wyciągnął język. Pobiegła za nim, wygrażając mu małą piąstką. Byli kompletnie zaabsorbowani swoją

prywatną wojną, podczas gdy wszędzie dookoła rozchodziły się wieści, że sytuacja jest beznadziejna i niemal pięć tysięcy ludzi przygotowywało się na śmierć.

– Mam cię, w końcu!

Po kolejnym skręcie, natknął się na litą ścianę. Podchodziła do niego, wyciągając ręce w stronę lalki w purpurowej sukience. Schował ją za plecami. Sięgnęła wokół niego rękoma, żeby jej dosięgnąć, ale on ją mocno odepchnął i upadła.

– Przyłożę ci – zagroziła, wstając i ponownie pędząc do niego. Nagle pojawiły się nad nią czyjeś dorosłe ramiona i chwyciły ją dorosłe dłonie.

– A więc, mała panienko – stwierdził jakiś głos. – Dlaczego nie jesteście ze swoimi rodzinami? W takiej chwili, powinniście być ze swoimi rodzinami. Gdzie to jest, pokład B?

– Pokład A – wyniosłe oznajmiła Robin. – On jest z B. Dlaczego wszyscy dookoła tak biegają?

Był to wysoki, cienki jak patyk mężczyzna, z uprzejmie wyglądającą twarzą.

– Zaraz, zaraz – powiedział nagle, wyglądając na zmieszanego. – Przez cały czas mówili, że jestem świrem, ponieważ buduję tę cholerną rzecz. No cóż, pewnie ja się do niej nie zmieszczę, ale być może te dzieciaki wejdą.

Złapał jedną ręką Robin, a drugą chwycił chłopca.

– Chcę moją lalkę! – krzyknęła Robin, ale chłopiec wyciągnął rękę z nią, w drugą stronę.

– Teraz możecie się już uspokoić – oznajmił mężczyzna. – Tylko spokojnie. Ja się wami zajmę.

Pobiegł razem z nimi, do jednego z doków remontowych, wielkiego, skazanego na zagładę statku. W rogu, za stosem obecnie już bezużytecznego, sprzętu do łatania, znajdował się stół. Na stole stał model *Star of Fire*. Miał sześć stóp długości i był absolutnie wierny z zewnątrz, co do ostatniego szczegółu. Jego twórca, nie doszedł jeszcze do odtworzenia wnętrza. W środku był zupełnie pusty. Miał jednak rakiety i wszystko co trzeba. Nie było powodu, aby nie zniósł lotu w kosmosie. Mógł nawet utrzymać w środku powietrze.

– Wchodźcie do środka – polecił mężczyzna.

Mały chłopiec nagle poczuł strach.

– Ja chcę do mamy – powiedział. – Chcę do taty.

– Wchodź do środka.

Robin poczuła się lepsza i wcisnęła się do środka tego czegoś. Było tam zupełnie ciemno. Obróciła się i o coś walnęła. Obróciła się nieco mocniej i zderzyła się małym chłopcem z pokładu B.

– Jak się stąd wydostać? – spytała go.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział.

– Chcę dostać moją lalkę – zażądała.

– Tak?

– Lepiej oddaj mi ją, natychmiast.

Nic nie odpowiedział. Z zewnątrz dobiegł jakiś syczący odgłos, a potem lekki ryk. Gdzieś dalej, coś rozsunęło się z łomotem.

– Miłej podróży, maluchy! – zahuczał głos.

W jednej chwili, coś jakby usiadło jej na klatce piersiowej, wyciskając całe powietrze z płuc. To był wielki ciężar, przytrzymujący ją, tak by nie mogła się nawet ruszyć. Chciała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z ust żadnego dźwięku. Chciała, żeby była tutaj jej mama. Mama z pewnością wiedziałaby, co robić.

Czuła się zmiażdżona i wciśnięta w tunel czerni.

Trzydzieści minut później, statek międzygwiazdny *Star of Fire*, kierujący się do zewnętrznych światów, z Sol do skupisk gwiazdnych za Wężownikami, stracił resztkę pozostałego powietrza. Stał się olbrzymią trumną, bez końca obracającą się bezwładnie w kosmosie, skąpaną w jaskrawym blasku światła gwiazd, поблизу środka galaktyki.

Niewielki statek kosmiczny, mały model ogromnego liniowca, pędził przed siebie. Jeżeli będzie tak leciał dłużej niż dwa dni, nie znajdując żadnej planety, dwójka jego pasażerów zginie, po wyczerpaniu się niewielkiego zapasu tlenu. Jeżeli znajdzie planetę, zacznie wokół niej krążyć, a następnie wyląduje automatycznie. Możliwość taka nie była wielka, ale też nie zupełnie znikoma. W tym regionie, bowiem, w pobliżu centrum galaktyki, odległości między gwiazdami, stają się niemal planetarne, a większość gwiazd posiada towarzyszące im planety. Ale nawet pomimo tego, mogła to być planeta niezdolna do utrzymania ich przy życiu...

Pędzili dalej, w zupełnej nieświadomości. Ona miała pięć lat. On sześć. Nazywał się Charlie Fullerton. Zabrał jej lalkę. Nienawidziła go.

Dwie godziny po tym, jak niewielki model statku kosmicznego, wylądował na planecie z trzema słońcami na niebie, Robin Sinclair obudziła się. Czuła się rozbita i stłamszona. Dobrą chwilę zajęło jej, zanim doszła do siebie. Wcześniej miała coś w rodzaju snu. Ten sen był zresztą całkiem fajny. Mama mówiła, że sny nie są prawdziwe. Ale ten, dla niej, z pewnością był wystarczająco prawdziwy.

Uniosła się i przeciągnęła, rozpościerając ręce. Cały fragment niewielkiego statku kosmicznego odskoczył pod dotknięciem jej ręki, wpuszczając do środka oślepiające światło słoneczne. Leżała z mocno zaciśniętymi powiekami, ale już po chwili modła widzieć. Chłopiec nadal spał. Ciągle go nienawidziła. Spał z jej lalką w ramionach. Wyciągnęła mu lalkę, a on poruszył rękoma i obudził się. Wyskoczyła z lalką, z otwartego statku kosmicznego, i zaczęła uciekać.

Biegła wzdłuż plaży. Ale piasek był zielony. Ocean syczał i huczał, a dookoła nie było widać nikogo innego.

– Tapiesz, tapiesz, a ty mnie nie złapiesz! – krzyczała na cały głos podczas biegu. W końcu upadła na piasek.

Dopadł do niej, upadł na nią i zaczęli się siłować o lalkę. W pobliżu zahuczał przypływ. Fala pływowa, zachowująca się kapryśnie w uścisku trzech słońc, niespodziewanie urosła koło nich, zalewając ich fontanną zimnej wody. Kaszląc, plując i krztusząc się, wycofali się dalej, w głąb plaży.

Po chwili przestali.

- Jestem zupełnie mokra – stwierdziła Robin.
- Mam na imię Charlie – odparł z ponurą miną. – Lepiej już wracajmy.
- Jak wrócimy? – chciała wiedzieć Robin.
- To bardzo ładna lalka – wymijająco powiedział Charlie.
- Zabrałeś mi ją! – stwierdziła oskarżycielsko.
- Aj, tam. Chciałem ją tylko obejrzyć.
- Ona ma purpurową sukienkę i wszystko inne.
- To jest jakiś świat – po chwili powiedział Charlie.
- Co to jest, świat?
- Och, świat to -- przecież wiesz -- wszystko.
- Och.
- Myślisz, że tutaj są Indianie?

Po chwili odparła:

- W każdym razie, powinni tutaj być.
- A piraci też? – spytał głosem pełnym obawy.

Przytaknęła głową, bardzo poważnie.

- Lubię piratów – oznajmiła. – Oni są tacy przerażający.

Dokładnie wtedy, w oddali, na wodzie pojawił się statek. Miał czarny kadłub i olbrzymie żagle. Na przednim żaglu wymalowana była wielka czarna czaszka.

– Lepiej się stąd zabierajmy! – zawołał zaalarmowanym tonem Charlie. Ale na końcu plaży wznosiły się pionowe ściany skalne, i chociaż biegli szaleńczo wzdłuż krawędzi zielonego piasku, nie mogli znaleźć żadnej drogi, pozwalającej pokonać skały. Statek piracki podpływał coraz bliżej i bliżej.

Przycupnęli jak mysz pod miotłą u podstawy skał i siedzieli zupełnie nieruchomo. Po dosyć długim oczekiwaniu, statek piracki podszedł blisko brzegu. Wysłano z niego długą łódź, której wiosła pobłyskiwały w świetle trzech słońc, jak gigantyczne nogi, na których łódź wędrowała przez fale w stronę plaży.

Po chwili piraci znaleźli się już na brzegu. Mężczyzna, który ich prowadził, miał tylko jedną nogę i protezę wystruganą z drewna. Wyglądał na bardzo złego.

– **T**o pirat, Czarnobrody! – powiedział Charlie wystraszonego szeptem. Tata kiedyś czytał mu opowiadanie o Czarnobrodym.

Piratowi z drewnianą nogą, nagle wyrosła czarna broda.

- Lalka! – zawołała Robin.
- O co ci chodzi?

– Zostawiliśmy ją tam. Purpurę. – Nazwała lalkę Purpurą, ponieważ miała purpurową sukienkę.

Czarnobrody, razem ze swoją załogą, podchodził właśnie do małego statku kosmicznego. Zebrali się wokół niego, przyglądając się pojazdowi, ze zmarszczonymi brwiami. Robin obserwowała wszystko z bladą twarzą i szeroko otwartymi oczyma. Purpura leżała niedaleko, na piasku. Musieli ją od razu zobaczyć. Jeszcze nawet kiedy przez głowę przechodziła jej ta straszliwa myśl, jeden z piratów zauważył leżącą na piasku Purpurę i podniósł ją. Czarnobrody podszedł do niego, wziął lalkę i przyglądał jej się uważnie. W tym właśnie momencie, gdzieś ze szczytów klifów, rozległ się krzyk i nagle jednego z piratów przeszyła strzała. Upadł na piasek, wijąc się z bólu, a reszta ludzi pośpieszyła z powrotem do łodzi.

– Indianie – z przekonaniem wyszeptał Charlie.

Indianie pokrzykiwali i wrzeszczeli.

– Czy są gdzieś tutaj jacyś kowboje? – spytała z nadzieją Robin.

– Nie, sir. Żadnych kowbojów – stwierdził bardzo zdecydowanie Charlie.

– Jestem głodna – oznajmiła Robin. – Szkoda, że nie mamy nic do jedzenia.

Z lekkim piskiem zachwytu, spojrzała w dół, tuż pod nogi.

Dwa talerze ze smażonym kurczakiem, ze wszystkimi dodatkami. Jej ulubione danie. Jedli łapczywie, nie słysząc już żadnych Indian. Przyglądali się jak łódź wraca na piracki statek. Przez cały czas mogli dojrzeć małą sukienkę Purpury, ponieważ Czarnobrody zabrał lalkę ze sobą na pokład. Robin dokończyła smażonego kurczaka i zaczęła płakać.

– Dziewczyny – z niesmakiem stwierdził Charles.

– Nic na to nie poradzę. Biedna Purpura.

– Czy ona umarła?

– Pirat Czarnobrody ją zabrał.

– Charles, to było imię mojego dziadka. Mój dziadek umarł i dali mi na imię Charles.

– Chcę Purpurę!

– Uspokój się! Indianie cię zobaczą.

– Indianie sobie poszli. Chcę Purpurę!

– Moglibyśmy tę plażę nazwać po Purpurze.

– Aj tam, co ty nie powiesz? To jest tylko plaża.

– Moglibyśmy tak nazwać, cały ten wielki świat. – Charlie wskazał ekspansywnie gestem dookoła.

Zielony piasek na plaży, stał się purpurowy. Niebo pokryło się purpurową poświatą.

– Na pewno, to bardzo zabawna planeta – powiedział Charlie. Głośny jak grzmot śmiech, zahuczał po niebie. – Planeta zwana Purpurą – dodał.

Rozpoczął się przypływ. Nadbrzeżne fale rozprysły się na skałach i zmoczył ich zimny prysznic.

– Lepiej znajdziemy drogę wyżej, na górkę – zaproponowała Robin. Przez górkę rozumiała pionowe skały, rozpościerające się za ich plecami.

Przypływ z hukiem wdzierał się coraz dalej. Byli już całkowicie przemoknięci. Przywarli do skalnej ściany.

– Potrzebujemy windy, albo czegoś podobnego – zauważył Charlie.

W świetle słońca rozbłyły złote liny. Na dół zjechała poślizgnięta klatka windy. Ruszyli nią do góry, tuż przed tym, zanim nadeszła wielka fala i z całej siły uderzyła w skały. Winda wjeżdżała coraz wyżej, zmierzając ku szczytowi skalnej ściany. Z góry widzieli ponad wodą, na znaczną odległość. Obserwowali odpływający coraz dalej statek piracki, z czarną jak noc czaszką na żaglach.

Zatrzymali się na szczycie klifu i wyszli z windy. Nigdzie nie było widać Indian, ale znaleźli popiół z ogniska obozowego.

– Czy są tutaj jakieś lwy, tygrysy i wszystko inne? – spytała zdumiona Robin, wodząc wzrokiem po plaży i morzu, a następnie odwracając się do tyłu, żeby obejrzeć zielony las, rozpoczynający się w odległości pięćdziesięciu jardów od krawędzi klifu.

– Lwy i tygrysy są tu na pewno – rzeczowym tonem odparł Charlie.

Gdzieś daleko w lesie zaryczał wielki kot. Robin pisnęła cichutko.

– Ja t...tylko się wygłupiałem – powiedział Charlie, niejasno sobie uświadamiając, że na tej planecie, nazywanej Purpurą, w jakiś sposób, mógł sprawić, że coś się wydarzy.

Jednak pojawił również i lekcję, którą odebrał tej nocy. Mógł na Purpurze sprawić, że coś się wydarzy, ale nie potrafił tego odwołać.

Tygrys ponownie zaryczał. Na szczęście znajdowali się od niego po zawiętrznej, i poszedł sobie szukać zdobyczy gdzie indziej. W objęciach zimnej nocy, dwójka przytulonych do siebie dzieci, zasnęła niespokojnym snem koło żaru obozowych ognisk Indian.

W końcu, po pewnym czasie, trzy słońca wzeszły w trzech różnych miejscach na horyzoncie. Purpura była może śmiertelnie niebezpieczna, ale była również naprawdę piękna...

Aczkolwiek zasługę odkrycia Planety Aladyna, przypisuje się badaczowi z Ziemi, Richardowi Purcellowi, tak naprawdę to dwójka ziemskich dzieci, które się na niej rozbiły, pojawiła się tam dwadzieścia lat przed ekspedycją Purcella. Jednak zamiast utorować drogę Purcellowi, uczyniły one badania planety, jeszcze bardziej skomplikowanymi. Można powiedzieć, że wydarzenie to było pozytywnie skorelowane z niebezpieczeństwem. Ponieważ Planeta Aladyna, stała się galaktycznym rogiem obfitości, była ona naprawdę warta wysiłków włożonych przez Purcella. Jak w dzisiejszej 24 wiecznej utopii dobrobytu, wie każdy uczeń, Planeta Aladyna, znajduje się niemal dokładnie w sercu galaktyki,

w miejscu, w którym materia tworzona jest spontanicznie, aby pomknąć długimi kosmicznymi szlakami, ciągnącymi się przez całą galaktykę. Jest to miejsce nie tylko spontanicznej kreacji materii, ale również spontanicznie uformowanej kreacji, w której psychika każdego człowieka pełni funkcję Boga. Planeta o wielkim znacze...

– z Annałów Kosmosu, t. 2

Stała w dumnej pozie na samej krawędzi skały, aby uwiecznić tę chwilę chwały. Brązy i różowości jej skóry, ciągle jeszcze pokrytej kropelkami wody, pozostałymi po ostatnim skoku, błyszcząły w słońcu. Potem, z absolutną gracją każdej linii swojego gibkiego ciała, poleciała ze skały w perfekcyjnie wykonanym skoku.

Charlie pomógł jej wyjść z wody, uśmiechając się.

– To było niezłe – przyznał.

– Cóż, to ty mnie tego nauczyłeś.

Jej figura nie stała się może jeszcze w pełni kobieca, ale była znacznie bujniejsza, niż zazwyczaj u dziewcząt. Robin była niesamowicie piękna, a Charlie doskonale o tym wiedział, chociaż nie miał żadnych standardów porównawczych, które pomogłyby mu w ocenie, poza indiańskimi kobietami, jakie od czasu do czasu mógł zobaczyć, albo niewolnicami Czarnobrodego, kiedy statek piratów przypląwał, aby pohandlować.

Nieświadoma swojej urody Robin, wciągnęła na siebie szorty ze złotej siateczki. Charlie pomógł jej zapiąć na plecach biustonosz ze złotej siateczki. Dawno, dawno temu -- to wydawało się być niemal nierealnym snem -- kiedy był malutkim chłopcem, jego matka wzięła go na show, na którym wszyscy tańczyli i śpiewali ubrani w kostiumy, ze złotej siateczki. Nigdy tego nie zapomniał, no i teraz cała ich odzież zrobiona była ze złotej siateczki.

Robin odwróciła się do tyłu i popatrzyła na niego. Płowe, jasne włosy opadały jej niemal do talii i właśnie pomagał jej je rozczesać, inkrustowanym klejnotami grzebieniem, który powołał swoim życzeniem do istnienia, parę dni wcześniej.

– Jak ja uwielbiam Purpurę! – zawołała impulsywnie.

Charlie uśmiechnął się.

– To dosyć zabawne stwierdzenie. Czy istnieją jeszcze jakieś inne miejsca?

– Chciałeś powiedzieć, poza Purpurą?

– Tak.

– Nie wiem. To śmieszne. Czasami, wydaje mi się...

Charlie uśmiechnął się do niej w odpowiedzi, nieco pobłażliwie.

– Och, to znowu ta książka, co nie?

– No dobrze. To znowu ta książka. Przestań się ze mnie naśmiewać.

Wiele lat temu, kiedy byli jeszcze dziećmi, wrócili do rozbitego statku kosmicznego, którym dostali się na Purpurę. Był niemal zupełnie pusty, poza jedną książką. Tak jakby ta książka, została tam włożona specjalnie dla nich, przez jakąś siłę wyższą, która umieściła ich w statku kosmicznym. Naturalnie, nie byli w stanie jej przeczytać, ale i tak książkę sobie zachowali. Potem, pewnego dnia, kilka lat później, Robin zażyczyła sobie, umiejętności czytania. Następnym razem, kiedy wzięła książkę i ją otworzyła, magia słów ujawniła się przed nią w cudowny sposób. Książka była zatytułowana JEDNOTOMOWY ZARYS ENCYKLOPEDYCZNY HISTORII i mówiła po prostu o wszystkim -- poza Purpurą. Nie było nawet najmniejszej wzmianki o Purpurze. Robin czytała książkę na okrągło, aż każde słowo nieomal zapadło jej w serce. Nawet Charlie wysłuchiwał jej dwukrotnie, przechodząc po kolei przez całą zawartość, którą mu przeczytała, ale nigdy nie zażyczył sobie umiejętności czytania, dla siebie samego.

Teraz Charlie spytał:

– Czy naprawdę wierzysz w to, co jest w tej książce? Jesteśmy na Purpurze. I to jest rzeczywistość.

– Nie wiem. Czasami wydaje mi się, że to nie jest aż tak rzeczywiste, jak wszystko, co jest w tej książce. A czasami, po prostu nie wiem, co myśleć.

W milczeniu poszli do swojej windy i wjechali na szczyt najwyższego klifu. Zażyczyli sobie tam domu, podobnego do jednego z tych, które Robin zobaczyła w książce. Zażyczyli sobie wielu rzeczy, które czyniły ich życie bardziej interesującym lub przyjemnym. Zaludnili Purpurę owocami swoich życzeń, wykorzystując JEDNOTOMOWY ZARYS ENCYKLOPEDYCZNY HISTORII jako przewodnik.

Mieszkali jakąś milę od Obozu Indian. Handlowali z Indianami, którzy, dziwne, nie wiedzieli jak życzyć sobie nowych rzeczy. Tak samo nie potrafili tego piraci, ani nikt inny. Tylko Robin i Charlie. Piraci mieszkali za morzem, na wyspie. Na południe, wzdłuż wybrzeża żyli Fenicjanie, Grecy, Majowie, marynarze Royal Navy, Podwodniacy, syreny i Cyklopi. Wybrzeża na północ, zajmowali Polinezyjczycy, Maorysi, Panamczycy i Holendrzy. W głębi lądu znaleźć można było Kanibali, Lotofagów, parę osiedli kowbojów, tak aby uczynić życie Indian, nieco bardziej interesującym, farmerów, Rosjan, Kongresmenów i Ministrów. Wszyscy oni zostali stworzeni przez Robin i Charliego, którzy czasami ich odwiedzali. Nigdy, nawet przez chwilę, nie wierzyli, że naprawdę, to Robin i Charlie ich stworzyli, chociaż wszyscy byli zdumieni ich zdolnością do tworzenia rzeczy, pojawiających się znikąd.

Właśnie w chwili, kiedy doszli do domu, ścieżką nadbiegł indiański wojownik, zmierzając w ich stronę.

– Statek lecieć na niebie! – krzyknął, dziko i gwałtownie gestykulując.

– Statek na niebie? – powtórzył Charlie, spoglądając na Robin. Czy tworzyłaś może jakieś statki kosmiczne?

– Nie. Wiesz przecież, że mamy między sobą układ. Nie tworzymy niczego, czego nie jesteśmy w stanie zrozumieć.

Indianin był bardzo zdenerwowany. Miał na imię Tashtu, co znaczyło Dzikie Orzeł, i był zwyczajowym pośrednikiem między nimi, a plemieniem.

– Statek przemknął przez niebo – powiedział. – Nie lądować. Polecieć dalej, w Dzikie Tereny.

Zainteresowanie Charliego, narastało. Dzikie Tereny. Stworzyli je pod wpływem impulsu, mniej więcej dwadzieścia mil od Obozu Indian, pośrodku między osadami Kongresmenów, w głębi lądu i Cyklopów, na wybrzeżu. To było miejsce pełne krętych wąwozów, skał i gór, całkowicie pozbawione życia. Nikt tam nigdy nie chodził. Pewnego dnia, jak zawsze mówił do Robin, będą mogli przebadać Dzikie Tereny. Jeżeli naprawdę istniał jakiś statek, i jeżeli właśnie tam poleciał...

– Nie – oznajmiła Robin. – Wiem, o czym myślisz. Ale ja jestem absolutnie szczęśliwa tutaj.

– Właśnie przed chwilą mi mówiłaś, jak to czasami ci się wydaje, że Purpura nie jest realna, i gdzieś tam są inne, rzeczywiste planety, które...

– To co innego. Wolno mi przecież sobie pomarzyć, co nie?

– Ale czy nie rozumiesz, że jeżeli naprawdę przyleciał jakiś statek, oni mogą nam o tym powiedzieć.

Schwyciła go za rękę.

– Charlie. Och, Charlie, naprawdę nie wiem. Boję się. Byliśmy przecież tutaj szczęśliwi, nieprawda? Naprawdę nie chcielibyśmy, żeby to się zmieniło...

– Ja wyruszam w Dzikie Tereny – z uporem stwierdził Charlie.

Tashtu skinął potwierdzająco głową.

– To dobrze, że Pan tak zrobić. Dla wojowników...

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że oni wyruszyli za statkiem? – spytał go Charlie.

– Tak, Panie. Statek lecieć nisko, zniszczyć uprawy na milę dookoła. My rozpocząć taniec wojenny. Wyprawa wojenna wyruszyć o ostatnim świcie.

– Sześć godzin temu! – zawołał Charlie. – Czy uda nam się ich dogonić?

Tashtu wzruszył ramionami.

– Pośpieszyć się, Panie.

– Widzisz chyba sama – powiedział Charlie do Robin. – Oni są dzikusami. Nie są w stanie zrozumieć czegoś takiego, jak statki kosmiczne. Nie mieliby nawet na to ochoty. Jeżeli tylko będą mieli szansę, to będą najpierw zabijać, a dopiero potem zadawać pytania. Teraz, to już po prostu musimy wyruszyć w Dzikie Tereny.

Duży i masywny Tashtu, gorliwie przytakiwał głową, ale Robin zdawała się nadal nie być do końca przekonana.

– Przecież – oświadczyła, – w książce nie ma nawet słowa o Dzikich Terenach.

– Przecież dlatego, że to my je stworzyliśmy.

– A poza tym, Kongresmeni są niebezpieczni.

– Kongresmeni? Czy nie chodzi ci czasami o Cyklopów?

– Tak, przepraszam. Cyklopi są niebezpieczni.

Nie mogło jej chodzić o Kongresmenów. Nie było do końca jasne, dla żadnego z nich, co właściwie robili Kongresmeni. Ale po jednej stronie Dzikich Terenów, były ich całe setki, a wszyscy nieustannie przemawiali i składali obietnice. Mali, pękaci, łysi ludzie, z potężnymi, cudownie brzmiącymi głosami i wspaniałym słownictwem. Charlie uwielbiał słuchać, jak przemawiają.

– My iść, Panie? – spytał Tashtu.

Charlie skinął głową i szybko poszedł do domu, po swój karabin. Został on wymodelowany na wzór najpotężniejszego karabinu w encyklopedii, który nazywał się Karabin na Słonie Mannlichera. Robin wyszła, ze swoim mniejszym powtarzalnym Springfieldem.

– Gotowa? – spytał ją Charlie.

– Tak. Jedzenie możemy wymyślić sobie, dalej na szlaku.

– Pośpieszyć się, Panie – popędził ich Tashtu.

Charlie ledwie był w stanie powstrzymać swoje podekscytowanie. Dzikie Tereny, w końcu. No, i statek kosmiczny.

Purcell zdawał sobie sprawę, że do czasu, kiedy w końcu mieli wylądować na niezbadanej planecie, jego niechęć do Glaudota, zaczęła graniczyć z prawdziwą nienawiścią. Purcell, który miał czterdzieści pięć lat i był kawalerem, lubił kiedy jego ludzie byli twardzi, tak. Trzeba było być twardym, żeby wylądować na parudziesięciu planetach, przebadać je i pokonać, tak jak zrobił to sam Purcell. Ale również lubił, kiedy jego ludzie mieli w sobie odrobinę pokory. Aby stawiać na każdym kroku czoła nieznanemu i czasami niemożliwemu do poznania, potrzeba było szczypty pokory.

Glaudot, młodszy od Purcella o piętnaście lat, pewny siebie, arogancki, był szczupłym, żylastym mężczyzną, przystojnym, w pewien ponury sposób, w stylu zmęczonego bohatera. I nie miał w sobie ani krztyny pokory. Z jednej strony, traktował załogę, jak śmieci, i to traktował ich w taki sposób już od samego startu z Ziemi, niemal pięć miesięcy temu. Z drugiej strony, sam zdawał się nie mieć cierpliwości dla rozkazów Purcella, chociaż przecież Purcell nie był człowiekiem przesadnie ostrożnym, a już na pewno nie bojaźliwym. To, co narastało między nimi, zapłonęło otwartym ogniem, na kilka chwil przed lądowaniem na planecie.

– Nie mogę tego pojąć – przyznał Purcell. – Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. – Przeprowadzali właśnie obserwacje teleskopowe z atmosfery. – Giganci mieszkający w jaskiniach – mówił dalej Purcell. – Żaglowce pływające pod piracką banderą, z trupią czaszką. A do tego

miasteczko składające się z miniaturowych replik Białego Domu z Ziemi. No i syreny.

– Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że naprawdę pan myśli, że widział syreny? – spytał Glaudot, z lekkim tonem politowania w głosie.

– No dobrze, przyznaję, że widziałem je tylko w przelocie. Wydawało mi się, że to są syreny. A pan powie o tych Indianach?

– Tak – przyznał Glaudot. – Widziałem Indian.

Lecąc na atmosferycznych silnikach rakietowych, przemknęli nad wioską Indian, na wysokości zaledwie kilkuset stóp i wyraźnie widzieli brązowoskórych ludzi, wyskakujących z wigwamów, z przerażeniem wpatrujących się na nich, do góry. Po tym wydarzeniu, Purcell zdecydował się znaleźć jakieś bardziej odosobnione miejsce na lądowanie, nie chcąc ryzykować zbyt nagłego spotkania z którąś z grup, tych fantastycznie zdywersyfikowanych tubylców.

Teraz jednak Glaudot stwierdził:

– Panie kapitanie, to wszystko co widzieliśmy, bierze pan za bardzo dosłownie. Przecież pamiętam, jak byłem kiedyś na Harfonte. gdzie braliśmy za rzeczywiste, całą masę różnego rodzaju halucynacji, dopóki kapitan Jamison nie odkrył, czym one właściwie są. Zostaliśmy tam zahipnotyzowani, aby widzieć to, czego najbardziej się obawialiśmy. A zrobili to nieszkodliwi tubylcy, którzy sami się nas wystraszyli.

– To nie jest Harfonte – odparł Purcell, z lekkim podenerwowaniem.

– Tak, ale pana tam nie było.

– Wiem o tym, panie Glaudot. Ja tylko próbuję wskazać, że każda planeta musi być rozpatrywana, jako odmienne środowisko. Każda planeta stwarza specyficzne dla siebie problemy, które...

– A ja mówię, że to jest znowu taka sama sytuacja jak na Harfonte. I mówię jeszcze, że gdyby miał pan na tyle ikry, żeby wylądować dokładnie pośrodku tej indiańskiej wioski, to sam by się pan o tym przekonał. Powiem panu jeszcze, że rozgrywanie tego w sposób tak bliski nadawania tym stworzeniom jakichkolwiek praw, jest po prostu śmieszne – wyrzucił z siebie Glaudot, a potem uśmiechnął się lekceważąco. – Oczywiście, za przeproszeniem, panie kapitanie. Ale czy nie rozumie pan tego, że musi pan pokazać tym wszystkim pozaziemcom, niezależnie od tego, jaką mają postać, że Ziemia ich się nie boją.

– Ostrożność i strach, to dwie zupełnie różne rzeczy – obstawał przy swoim Purcell.

Nie wiedział, dlaczego w ogóle zajmuje się wyjaśnianiem tego Glaudotowi. Być może z powodu chorążego Chandlera, najmłodszego człowieka w wyprawie badawczej, który był akurat w głównej kabinie statku i ich słuchał. Chandler był fajnym dzieciakiem, dobrze poukładanym i wychowanym zgodnie z najlepszymi tradycjami Ziemi. Ale Chandler, tak jak wszyscy chłopcy, którzy dopiero co wyrosli z tych swoich -nastu lat, łatwo poddawał się wpływom i fascynacjom. A już szczególnie łatwo poddawał się wpływom, podczas ostatnich kilku miesięcy, swoich pierwszych miesięcy, spędzonych w kosmosie.

– Kiedy jest się ostrożnym, robi się to w równym stopniu dla ochrony tubylców, jak i siebie samego – kontynuował Purcell, a potem starał się to

ubrać w proste słowa, które Glaudot i Chandler powinni znać już wcześniej, z Akademii Eksploratorów Kosmosu.

Kiedy skończył, Glaudot wzruszył tylko ramionami i spytał:

– A co pan o tym sądzi, chorąży Chandler?

Twarz Chandlera powoli robiła się czerwona.

– Ja... ja wolałbym raczej o tym nie mówić – odparł. – Kapitan Purcell jest... kapitanem.

Glaudot uśmiechnął się tryumfalnie do Purcella. To właśnie wtedy niechęć Purcella do tego człowieka, osiągnęła poziom skrajnie intensywny. Purcell zastanawiał się, jak długo zatruwał on umysł młodzieńca, urabiając go przeciw doktrynom Akademii.

W tej właśnie chwili, na grodzi rozbłysła lampka i metaliczny głos zaintonował:

– Proszę przygotować się do lądowania. Proszę przygotować się do lądowania, natychmiast.

Purcell zmierzając do swojej uprząży startowej, powiedział Glaudotowi, który był pierwszym oficerem wyprawy:

– Niech pan przygotuje grupę naziemną do wyruszenia, pół godziny po lądowaniu.

– Tak jest, sir – gorliwie odpowiedział mu Glaudot. Przynajmniej było coś, co do czego byli zgodni.

– **P**anowie – oświadczył Purcell małej grupie naziemnej, która trzydzieści pięć minut później zebrała się koło głównej śluzy, – mamy określone zobowiązania względem naszej cywilizacji, które, jak mam nadzieję, wszyscy panowie rozumiecie. Podczas pobytu tutaj, na tej nieznannej planecie, nie wolno nam zrobić niczego, co mogłoby zdyskredytować imię Ziemi i galaktycznej kultury, którą Ziemia reprezentuje.

Wszyscy obejrzeliby sobie wcześniej ponury, podobny do księżycowego krajobraz, przez porty widokowe. Czekali z entuzjazmem, aby wyjść ze statku, zatknąć na tej nowej planecie flagę Ziemi i dowiedzieć się, jaka ona była. W pierwszej grupie naziemnej, było tylko ośmiu ludzi. Kolejni mieli ruszyć ich śladem, kiedy pierwsza ósemka, przygotowuje podstawy do dalszych działań. Ósemka ta miała na sobie nowoczesne, lekkie skafandry kosmiczne, których używały wszystkie wyprawy eksploracyjne, nawet jeżeli temperatura i powietrze na nowej planecie wydawały się dosyć bliskie ziemskiej normie. Już dawno temu zdecydowano w Akademii, że nie wolno podejmować ryzyka, możliwego występowania w obcej atmosferze, jakichś nieznanych czynników, które mogły być toksyczne, albo mieć śmiertelne i nieodwracalne skutki. Po dwóch, trzech dniach szczegółowych badań laboratoryjnych, jeżeli wszystko dobrze pójdzie, być może będą mogli zrzucić z siebie skafandry kosmiczne.

W milczeniu stłoczyli się w śluzie powietrznej. Purcell stał pierwszy, z flagą Ziemi w ręku, za nim Glaudot, a potem pozostali. Gdy rozsypali się

po trudnym, okolicznym terenie, z portów widokowych statku obserwowały ich białe twarze kolegów.

Kiedy przewędrowali już kawałek drogi, przez wyludniony teren, Glaudot roześmiał się i powiedział:

– Przecież tutaj nie ma nikogo, poza nami, bojaźliwymi chłopczykami! Ale przecież, czego innego można się było spodziewać? Kapitan zabrał nas daleko od wszystkich innych, bardziej obiecujących miejsc.

Jedynym motywem działania tego człowieka, pomyślał sobie Purcell, jest jego kolosalne ego. Nic nie odpowiedział, uznając, że w ten sposób zniżyłby się, do poziomu Glaudota.

Kiedy przeszli już niemal całą drogę przez płytki krater, w którym wylądował statek badawczy, oraz kiedy Purcell wbił maszt z flagą, na najwyższym wzniesieniu, znajdującym się w obrębie niskich ścian krateru, Glaudot zaproponował:

– Panie kapitanie, a może byśmy się rozejrzeli, co tam jest za krawędzią krateru? Zróbmy przynajmniej tyle.

Purcell nie był entuzjastą tego pomysłu. Oznaczałoby to za szybką utratę statku z zasięgu wzroku. Ale dobiegające przez radio głosy większości jego ludzi, wskazywały, że zgadzali się oni z Glaudotem. Tak więc Purcell wzruszył ramionami i pozwolił pójść dwójce ochotników, jeżeli obiecują oni dołączyć z powrotem do głównej grupy, w ciągu dwóch godzin.

Glaudot natychmiast zgłosił się na ochotnika. To przynajmniej miało sens. Glaudot miał odwagę stosowną do swoich przekonań. Oprócz niego, zgłosiło się jeszcze kilku innych ludzi, ale jako pierwsza powędrowała w górę ręka chorążego Chandlera.

– Nie chciałbym zabrznieć, jak ostatni służbista – oświadczył im Purcell. – Ale chciałbym, aby było jasne, że kiedy mówię dwie godziny, to myślę o dwie godziny. Ani minuty więcej.

– Tak jest, sir – potwierdził Chandler.

– Glaudot?

– Tak jest, sir – odpowiedział pierwszy oficer.

– No, dobrze – westchnął Purcell. Podszedł do najbliższych z dużych mega-sań, na których piętrzyła się wysoka sarta ekwipunku. – Zorganizujemy tutaj obóz-bazę. Wiem, że ludzie, którzy zostali na statku, będą chcieli rozprostować nogi, najszybciej, jak to tylko możliwe. Nie chcielibyśmy gonić po tej dzicy, w poszukiwaniu za panem, Glaudot.

– Na pewno nie za mną, panie kapitanie – zapewnił go Glaudot i razem z chorążym Chandlerem, wyruszyli w kierunku ściany krateru.

– **A** co to, u licha, jest? – spytał Chandler czterdzieści pięć minut później.

– Chłopcze, przestań podskakiwać, na widok każdego cienia. Spokojnie.

– Wydawało mi się, że widziałem coś, za tą skałą.

– No to, idź i zobacz.

– Ale...

– Do diabła, chłopcze, nie pozwól, żeby podczas twojej pierwszej w życiu wyprawy w kosmos, Purcell zaszczerpił ci wszystkie swoje lęki przed nieznanym. Ha, co ty na to?

– Tak jest, panie Glaudot – odpowiedział mu chorąży Chandler.

– Poza wszystkim innym – mówił dalej Glaudot, – nie ma czego się bać. Ciągłe jesteśmy w zasięgu wzroku ze statku.

Chandler odwrócił się do tyłu.

– Nie widzę go – powiedział.

– Ze szczytu tej skały, zobaczyłbyś bez trudu.

– Tak pan myśli?

– No pewnie. Dlaczego nie wejdiesz tam i sam się nie rozejrzysz, jeżeli dzięki temu poczujesz się lepiej?

– Dobrze – powiedział Chandler i uśmiechnął się, dumny ze swojej śmiałości. Ale niejasno zdawał sobie sprawę, że znalazł się w krzyżowym ogniu między ostrożnym Purcellem i zuchwałym, aroganckim Glaudotem. Czasami wydawało mu się, że ostrożne podejście kapitana, miało sens. Przecież, jak uczył się w Akademii, na Wulcrestonie cała ziemską ekspedycja została zmasakrowana, jeszcze przed nawiązaniem kontaktu, ponieważ tubylcy mylnie uznali ręczne teleskopy, za broń. I z pewnością, na każdej planecie, ubrany w skafander człowiek, wyglądał bardziej jak potwór, niż istota ludzka, pomimo tego, że skafander był gorszy w walce niż goła skóra, ponieważ można było się w nim poruszać, tylko w dosyć niezgrabny sposób.

Te wszystkie myśli, przechodziły Chandlerowi przez głowę, kiedy wspinał się, na wysoki, skalisty wał. Będzie musiał dzisiaj wieczorem wysłać list podprzestrzenny do rodziców. Nie tylko, że został wybrany do pierwszej grupy badawczej, ale również brał udział w pierwszej wyprawie, poza zasięg widoczności statku. Z pewnością było to coś wartego, żeby napisać o tym do domu, a mama będzie z niego bardzo dumna...

Znalazł się już na szczycie skały. Pod nim, rozpościerał się rozległy, pogmatwany krajobraz, jak mapa konturowa, z kosmaru sennego kartografa. Po swojej lewej stronie, za postacią Glaudota, widział podobny do pocisku kształt statku kosmicznego, spoczywającego na płetwach ogonowych. A po prawej stronie...

Wpatrywał się w to, kompletnie oszołomiony.

W ostatniej chwili, próbował jeszcze ześlizgnąć się ze skały, ale but skafandra uwiązał mu w jakiejś szczelinie, i jego ostatnim błędem było to, że stanął wyprostowany, próbując go uwolnić.

Potem, wszystko naraz zniknęło w oślepiającym wybuchu bólu, i chwycił coś na swojej piersi, ale wiedział, że życie wypływa szybko z jego młodego ciała i nie miało już znaczenia, czy będzie w stanie wyciągnąć okrutny trzonek strzały z...

Glaudot ruszył biegiem do góry, po zboczu skały. Ciągłe nie mógł uwierzyć własnym oczom. Chorąży Chandler został przeszyty dwoma

długimi upierzonymi beltami, dwoma strzałami. Siła uderzenia pierwszej z nich, obróciła Chandlera do tyłu, i teraz leżał wygięty w łuk, przerzucony plecami przez kamienne występy na szczycie skały, ze sterczącymi mu z piersi dwiema strzałami, a życie wyciekało z niego, razem z krwią, wypływającą ciemnym szkarłatem, na tle bieli skafandra kosmicznego.

Kiedy dotarł na szczyt skały i próbował ściągnąć na dół umierającego chłopca, Glaudot zobaczył Indian, wbiegających z pośpiechem po drugiej stronie ściany krateru. Indianie, pomyślał z niedowierzaniem. Indianie, jak na amerykańskim Zachodzie, setki lat temu. Indianie... Tylko, co oni u diabła tutaj robili?

Muskularny wojownik nałożył strzałę i jego prawa ręka dociągnęła zakończony piórami trzonek do samego ucha. Błyskawicznie Glaudot wyrzucił ręce w stronę nieba, mając nadzieję, że uniwersalny gest poddania zostanie zrozumiany również i tutaj. Wojownik stanął bez ruchu, jak posąg. Jego wargi otworzyły się. Mówił coś do kilku innych Indian, z atakującej bandy, ale Glaudot nie słyszał słów, mając na głowie założony hełm skafandra. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego życie zawisło na włosku.

Obserwował tylko, zafascynowany i bezradny, jak Indianin, który zaszlachtował chorążego Chandlera, podchodzi w jego stronę.

Tashtu oznajmił mu:

– Dwie grupy wojowników, Panie. Jedna z nich iść na północ. Druga na południe. Iść za nimi?

Dotarli właśnie do wysuniętego obozu Indian, na obrzeżach Dzikich Terenów. Jak dotąd nie widzieli nawet śladu Cyklopów, żyjących w tej części planety. Ze wszystkich swoich tworów, Charlie i Robin bali się i unikali tylko Cyklopów, potężnych jednookich gigantów, którzy tak bardzo zaintrygowali Robin w encyklopedii, że poczuła wręcz przymus do ich stworzenia, i zrobiła to.

– Nie możemy iść za obydwoma grupami – stwierdził Charlie, wyglądający na zatroskanego.

– A dlaczego mielibyśmy nie móc? – sprzeciwiła się Robin. – Ty, Charlie, pójdziesz na północ, z paroma wojownikami. Ja pójdę na południe. Powinniśmy dogonić atakujące grupy, zanim cokolwiek się stanie.

– Nie mogę puścić cię samej.

– W porządku, wezmę ze sobą Tashtu. Nie wydaje ci się, że Tashtu potrafi zaopiekować się mną równie dobrze, jak ty sam?

– Muszę powiedzieć, że nie podoba mi się ten pomysł... – zaczął Charlie.

– To głupie. Jeżeli musimy ich znaleźć zanim zaczną się kłopoty, to musimy to zrobić, i już. No co, czy nie tak?

Charlie niepewnie skinął w jej stronę głową. Dorastał razem z nią, i widział ją codziennie, w każdym dniu swojego życia, ale i tak za każdym razem, kiedy patrzył na nią, na jej piękną twarz, na opaloną, długonogą

postać, nieznacznie tylko okrytą przez ubranie ze złotej siateczki, wręcz zapierało mu dech w piersiach. I chociaż w pewnym sensie, cała planeta była jego zabawką, nigdy nie widział niczego innego, tak pięknego. W końcu powiedział.

– Wydaje mi się, że jak dla mnie, to brzmi aż za bardzo logicznie. Pilnuj jej dobrze, Tashtu.

– Nawet za cenę życia, Panie – przyrzekł Indianin i grupa się rozdzieliła. Robin podbiegła do Charliego i uściśnęła go, całując go figlarnie w policzek, na wpół tylko poważnie.

– Ty też bądź ostrożny – powiedziała i wyruszyła w drogę z Tashtu i kilkoma wojownikami.

Naturalnie, że była podekscytowana. Wiedziała znacznie więcej ludziach w kosmosie, niż Charlie. Przecież czytała encyklopedię znacznie dokładniej, co nie? Zastanawiała się, jacy mogą być ci badacze kosmosu. Nie mogła nic poradzić na tę ciekawość, ponieważ jedynym człowiekiem jakiego знаła, poza tymi których stworzyli, był Charlie. Oczywiście, nigdy nie mówiła o tym Charliemu, w zbyt wielu słowach, ale czuła -- zawsze to zresztą przeczuwała, lecz tylko mgliście i niejasno, a teraz czuła to zupełnie wyraźnie -- że zanim będzie mogła kontentować się życiem u boku Charliego, chce dowiedzieć się czegoś o świecie poza Purpurą. A przecież był to ogromny świat -- cała masa planet -- poza Purpurą. Wiedziała o tym. Encyklopedia wspominała o każdej z nich, ale w ogóle nic nie mówiła o samej Purpurze.

Przez kilka minut szli przez gęsty las, a potem nagle znaleźli się na krawędzi Dzikich Terenów. Nawet sama myśl o Dzikich Terenach, wlewała energię w członki Robin i powodowała, że poruszała się znacznie szybciej. Dzikie Tereny, to zupełnie nieznany kraj, co nie? Zostały stworzone, zupełnie bez żadnej wiedzy, co wtedy tworzyli i nigdy ich nie przebadali.

Szła dalej na przedzie, z Tashtu, przedzierając się przez skały i rozkruszony pumeks. Na Dzikich Terenach nie wiały żadne wiatry. Powietrze nie było ani gorące, ani zimne. Otaczający ich krajobraz wydawał się być niezmienny i wieczny, jak gdyby wszystko tutaj wyglądało tak samo od zarania dziejów. A przecież Charlie i Robin stworzyli go zaledwie parę lat temu.

Przedzierali się tak dalej, jeszcze przez dwie godziny. Tashtu podążał dobrze widocznym w pumeksowym pyle śladem. Doszli w końcu do ściany niskiego krateru, gdzie ślady ginęły. Początkowo Tashtu był lekko dezorientowany, ale potem wskazał ręką na szczyt, jakieś paręset stóp nad ich głowami. Robin zauważyła pojawiające się od czasu do czasu błyski brązowych ciał i piór.

– Halooo! – zawołał Tashtu i paru ze znajdujących się nad nimi wojowników, obróciło się do nich, a potem wszyscy zaczęli mówić w łamanym angielskim, który był jedynym językiem jaki znali.

– Huragpha zabić potwora – mówili. – Złapać innego potwora. Ale potem zobaczyć... – słowa urwały się, ginąc w ciszy. To oczywiste, że

Indianie byli bardzo zmieszani. – Wy iść, zobaczyć. Potwór, on krwawić jak człowiek.

Z Tashtu u boku, Robin pobiegła pod górę, po stromym skalistym zboczu. Kiedy dotarli na wierzchołek, ciężko dysząca i prawie zupełnie wyczerpana Robin przyłożyła dłoń do ust, z cichym okrzykiem przerażenia.

Na skale leżał rozciągnięty martwy człowiek, z dwiema strzałami wbitymi w pierś, przeszywającymi tkaninę skafandra kosmicznego. Skafander kosmiczny prawdopodobnie wystraszył Indian, ale to był człowiek, bez wątplenia. Gdyby Indianie podeszli do niego bliżej, to nawet oni by się zorientowali. Biedny człowiek... Przecież, to jeszcze niemal chłopiec.

Człowiek z kosmosu!

Był jeszcze jeden, w tej chwili otoczony szczelnie przez grupę Indian.

– On, więzień – oznajmił jeden z Indian, o imieniu Huragpha, nieco niepewnym głosem.

Robin podeszła do człowieka w skafandrze kosmicznym. Był to duży mężczyzna, większy nawet niż Charlie. Wyglądał na bardzo silnego, ale skafander mógł tu być nieco mylący. Wyglądał również na wystraszonego, ale nie przerażonego.

– Czy naprawdę jesteś z kosmosu? – spytała go Robin.

Glaudot odpowiedział jej:

– Dobrze, że ktoś z was potrafi wypowiedzieć coś więcej, niż tylko kilka chrząknięć. To już przynajmniej jest coś. – Popatrzył uważnie na Robin. – I to jeszcze ktoś piękny – dodał po chwili. Sposób w jaki to powiedział, wskazywał, że nie jest to komplement. To było obiektywne stwierdzenie faktu.

– Wiem, że niewiele to pomoże, jeśli powiem przepraszam, co do twojego kolegi. Słowa nic tu nie zmieniają, jak się domyślam. Ale...

– Taaa – odparł Glaudot. – W porządku. On leży martwy. Ja go nie sprowadzę z powrotem, ani ty, siostró, też tego nie zrobisz.

– Nie jestem twoją siostrą – zwróciła mu uwagę Robin.

Glaudot wyjaśnił jej, że to tylko taki sposób zwracania się. Nie był w stanie uwierzyć własnym uszom. Dziewczyna mówiła po angielsku równie dobrze jak on, co było prawie że niewiarygodne tutaj, na planecie odległej o pół galaktyki. Odniosł jednak wrażenie, że była niemal nie do wiary naiwna. A w dodatku ci Indianie -- trudne do uwierzenia było już to, że to rzeczywiście byli Indianie -- zdawali się jej służyć, a nawet prawie ją czcili.

Glaudot usiadł na hełmie swojego skafandra, który zdjął z głowy parę minut temu i spytał ją:

– Czy jesteś może szefową, tego wszystkiego tutaj dookoła?

– Szefową? Nie rozumiem.

– Czy tutaj rządzisz? Sprawiasz, że coś się dzieje?

Robin uśmiechnęła się i wyjaśniła:

– Ja ich stworzyłam.

- Przepraszam. Teraz *ja* nie chwytam, co ty powiedziałaś.
 - Powiedziałam, że ich stworzyłam. To bardzo proste. Mój przyjaciel i ja, dawno temu zdecydowaliśmy, że będzie miło, interesująco, czy jeszcze coś innego -- zapomniałam już, to było tak dawno temu -- w skrócie, że chcielibyśmy mieć paru Indian. Tak więc, stworzyliśmy Indian.
 - Glaudot ze śmiechu aż odrzucił głowę do tyłu.
 - Przez chwilę - oświadczył, -- udało ci się spowodować, że niemal uwierzyłem.
 - Dziewczyna ubrana była jak dzikuska, powiedział sobie w myślach, jak przepiękna dzikuska, ale przynajmniej miała poczucie humoru. To też było coś.
 - Ale co w tym jest takiego zabawnego? - spytała Robin.
 - Właśnie przed chwilą mi powiedziałaś...
 - Doskonale wiem, co powiedziałam. Mój przyjaciel i ja stworzyliśmy Indian. Zgadza się. No i co z tego? Czy wy nie potraficie sobie stworzyć wszystkiego co jest wam potrzebne? Choćby czegokolwiek?
 - W porządku sestro - odpowiedział jej nieco gniewnie Glaudot. Nie lubił, kiedy ktoś sobie z niego żartował, brakowało mu wielkoduszności, niezbędnej do umiejętności śmiania się z samego siebie. - Powiedz mi tylko, czy masz mnie za, aż tak wielkiego głupca?
 - A niby skąd mam to wiedzieć? - odparowała. - A jak wielkim głupcem jesteś?
 - Glaudot wpatrywał się w nią gniewnym wzrokiem. Purcell naprawdę się wścieknie, kiedy mu powie o śmierci Chandlera, ale już wcześniej ludzie umierali podczas wypraw, a to naprawdę nie była wina Glaudota. A w każdym razie, udało mu się nawiązać kontakt z kimś, o niewątpliwie dużym znaczeniu między tubylcami, i Purcell powinien to docenić.
 - Mniejsza z tym - wycofał się Glaudot.
 - Powiedz mi coś o życiu w kosmosie. Czy naprawdę latacie między gwiazdami?
 - No cóż, tak - odpowiedział jej Glaudot. - Chociaż, tak naprawdę, to nie jest latanie.
 - I tworzycie nowe gwiazdy, kiedy do nich dotrzecie?
-

I znów wsiadła na tę swoją gadkę o tworzeniu, tak jakby kreacja z niczego, była zjawiskiem powszechnie występującym w całym wszechświecie. Glaudot podniósł się na nogi.

- No dobrze, sestro. Pokaż mi.
- Dobrze, tylko co mam ci pokazać?
- Stwórz coś.
- Czy to znaczy - spytała z rozczarowaniem Robin, - że ty naprawdę nie potrafisz tego zrobić?
- Pomiń te wstępy i po prostu coś stwórz.
- Robin wzruszyła ramionami.
- A co byś chciał?
- Glaudot przez chwilę intensywnie myślał.

– Fortepian! – nagle oznajmił. – Co myślisz o fortepianie? – To dosyć skomplikowana rzecz, pomyślał sobie. – A kiedy będziesz się tym zajmować, to może opowiesz mi, dlaczego wszyscy tutaj mówią po angielsku – albo przynajmniej usiłują mówić po angielsku?

Robin zmarszczyła brwi.

– A czy jest jakiś inny sposób mówienia?

Glaudot też zmarszczył brwi. Ten ciąg myślowy, nie zaprowadzi go zbyt daleko.

– O.K. – powiedział. – To może co, malutki fortepianik pojawiający się przed nami?

– W porządku – odpowiedziała Robin.

Glaudot mrugnął zaskoczony. Stojąca obok niego śliczna dziewczyna nawet nie drgnęła. Nawet nie zmieniła wyrazu swojej twarzy. Ale przed nimi, na skale, stał wielki, salonowy fortepian.

– A niech mnie diabli – wykrztusił Glaudot. – Co jeszcze potrafisz stworzyć?

– Naszym dziełem są ci wszyscy tutejsi tubylcy. Stworzyliśmy zieleni i purpurę. Stworzyliśmy całe Dzikie Tereny. Stworzyliśmy nawet niektóre ze zwierząt.

– Tak jak fortepian? Z niczego?

– A czy jest jakiś inny sposób?

Glaudot powiedział:

– Lepiej będzie, jak pójdziesz ze mną na statek. Kapitan będzie chciał się z tobą zobaczyć.

Tashtu pokręcił przecząco głową.

– Pani Robin zaczekać na Pana.

Glaudot popatrzył na Robin.

– Kto to jest?

– Charlie. Ty tylko mój przyjaciel. Ja... nie wydaje mi się, żebym musiała na niego czekać. To ja zawsze byłam bardziej zainteresowana czytaniem o ludziach z kosmosu, niż on. Pójdę z tobą, jeżeli będziesz chciał.

Tashtu wyglądał na strasznie nieszczęśliwego.

– Pan Charlie, on powie... powiedzieć...

– No cóż, Tashtu, możesz tutaj poczekać i powiedzieć Charliemu, gdzie poszłam. Czy to nie proste? Absolutnie nic mi się nie stanie, nie musisz się o mnie martwić.

– Pan Charlie, on powie... powiedzieć, żeby pilnować Pani.

– A ja ci mówię, że idę z tym człowiekiem, na jego statek.

Tashtu pokłonił się.

– Pani przemówiła – oświadczył i przyglądał się, jak Robin schodzi ze skalistego wału i idzie dalej z Glaudotem, w kierunku odległego błysku światła na metalowej powierzchni, wskazującego miejsce w którym znajdował się statek kosmiczny, o którym mówili.

– **A** więc potrafisz stworzyć zupełnie wszystko? – spytał Glaudot.

– Myślę, że tak.
Bogini, pomyślał. Piękna bogini, która...
Nagle zaczął patrzeć nią innym wzrokiem. Która mogła uczynić go najpotężniejszym człowiekiem w całej galaktyce.
– Ten twój statek kosmiczny... – zaczęła mówić.
– Poczekaj. Jedną chwileczkę. Jeżeli potrafisz stworzyć cokolwiek, to co byś powiedziała, na odtworzenie Chandlera?
– Chand-lera? Co to jest Chand-lera?
– Ten chłopiec, który tam został. Ten, którego zabili twoi wojownicy.
Robin odparła:
– Jeżeli sobie tego życzysz... – i Glaudot wstrzymał oddech. Władza nad życiem i śmiercią, pomyślał sobie...
Popatrzył na ziemię i zobaczył leżące tam ciało Chandlera w skafandrze kosmicznym, z dwiema strzałami przebijającymi mu pierś. Pokręcił przecząco głową.
– Ale nie martwego – powiedział. – Na co komuś martwy człowiek.
Robin skinęła głową.
– Bardzo cię przepraszam – przyznała mu rację. – Po prostu nigdy wcześniej nie myślałam, o przywracaniu do życia ludzi. To... to jakoś, wydaje się...
– O co chodzi?
– Nigdy nie udałoby mi się przywrócić go tak naprawdę. To byłaby kopia, tylko kopia.
– Ale doskonała kopia?
– Myślę, że tak.
– A więc, jeśli byłaby to tylko kopia, to w ogóle nie powinnaś się tym przejmować, nieprawdaż?
– No, cóż... – stwierdziła z powątpiewaniem.
– No, dalej. Pokaż mi, że potrafisz to zrobić.
Glaudotowi opadła szczeka. Obok leżącego ciała Chandlera, pojawiła się inna postać. Drugie ciało Chandlera. Ta inna postać zerwała się na nogi. To był Chandler.

– **U**ważaj! – krzyczał nowy Chandler. – Uważaj... Indianie!
– Tylko spokojnie – uspokajał go Glaudot. Sam Glaudot miał jednak zupełnie białą twarz i wielkie, okrągłe, wpatrujące się z niedowierzaniem oczy.
Chandler popatrzył pod nogi, na leżące na skale ciało. Ugięły się pod nim kolana i Glaudot musiał go przytrzymać, żeby nie upadł. Chandler próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Wpatrywał się tylko z przerażeniem i fascynacją w ciało, które było idealną kopią jego własnego -- albo kopią martwego człowieka, z którego nowy, żywy człowiek, został powielony.
– Czy teraz możemy pójść do twojego statku? – Robin uprzejmie spytała Glaudota. – Zawsze chciałam zobaczyć prawdziwy statek kosmiczny.

To była prawdziwa moc, pomyślał sobie Glaudot. Niewiarygodna moc. Taka moc wystarczyłaby, żeby formować planety, żeby rzeźbić je, poczynawszy niemal od pierwotnego tworzywa, dla siebie samego. To była moc znacznie większa, niż oferowana kiedykolwiek, któremukolwiek z ludzi w całej galaktyce. Czy należała ona do niego, do Glaudota?

Nie będzie, jeżeli zaprowadzi tę piękną dziewczynę na statek, do Purcella. Ponieważ kapitan Purcell, z oddaniem służący cywilizacji galaktycznej, którą próbował rozszerzać na coraz dalsze planety, będzie myślał w kategoriach tego, jakie dobro, odkrycie tej dziewczyny, może przynieść całej ludzkości. Ale gdyby Glaudot zatrzymał to wszystko dla siebie...

Wtedy druga myśl, nieomal go ogłuszyła. Dlaczego tylko dziewczyna? Wspominała przecież o jakimś swoim przyjacielu, co nie? Być może było to coś w atmosferze tej dziwnej planety, w każdym oddechu powietrza wciągany do płuc. Może każdy mógł to robić, mógł tworzyć coś z niczego -- myślał Glaudot.

- Chcesz pójść na statek kosmiczny? - spytał dziewczynę.
 - Tak. Och, tak.
 - A więc naucz mnie tajemnicy tworzenia.
 - To znaczy, chodzi ci o robienie rzeczy? Przecież to nie jest żadna tajemnica. To powinna być tajemnica? Po prostu -- tworzysz.
 - Pokaż mi - nalegał Glaudot.
-

Pprzed nimi pojawił się stół, zastawiony przepyszными potrawami.

- Magia! - zawołał Chandler.

Jako następny zmaterializował się wielki rumak, deresz, w uprząży, ale bez siodła. Robin wskoczyła na jego szeroki grzbiet, utrzymując równowagę i kontrolując konia, gołymi kolanami. Rumak pocwałował coraz dalej.

- Zaczekaj! - krzyknął za nią Glaudot. - Proszę cię, zaczekaj!

Rumak przygalopował z powrotem i Robin zsiadła z niego. Koń zaczął skubać kępę trawy, która nagle pojawiła się na gołej skale. Zwierzę wydawało się być całkiem z niej zadowolone.

- Czy chcesz powiedzieć - spytał nowy Chandler wystraszonym głosem, - że ona tak po prostu stworzyła to wszystko? Jedzenie. Stół. Konia...

- Tak - odparł Glaudot. Skoncentrował swoją wolę na stworzeniu na świeżym poletku trawy, choćby jednego kwiatka. Skoncentrował wszystkie swoje siły, całe jestestwo.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Popatrzył na Robin niemal gniewnym wzrokiem, tak jakby była to jej wina.

- Nie mam takiej mocy, którą ty posiadasz - stwierdził ponuro.
- Potwierdziła skinieniem głowy.

– Tylko ja i Charlie ją mamy. – Odwróciła się na wspaniałego deresza.
– Czyż nie jest piękny? Dam go w prezencie Charliemu. – Odwróciła się z powrotem do Glaudota. – A teraz zabierz mnie na statek.

– Powinniśmy ruszyć w drogę powrotną, panie Glaudot – poparł ją Chandler.

– Tak? A dlaczego?

– Przecież... przecież nie muszę chyba panu mówić, dlaczego! Ta dziewczyna, to jedno z najważniejszych odkryć, jakiego kiedykolwiek dokonano! Zdolność do tworzenia rzeczy materialnych... zupełnie z niczego...

– Pokaż mi swoją planetę – zaproponował Glaudot Robin, ignorując słowa młodego człowieka. – O statkach kosmicznych możemy porozmawiać sobie później. Rozumiesz, ja jestem badaczem i badanie nowych planet, to moja praca. – Powiedział to powoli, prostymi słowami, tak jakby mówił do dziecka. Jakoś, chociaż dziewczyna nie była dzieckiem i była absolutnie najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział na oczy, wydawało mu się to, najlepszym podejściem.

– Zaraz, chwileczkę, panie Glaudot – zaprotestował Chandler. – Obaj doskonale wiemy, że naszym obowiązkiem jest odprowadzić ją do kapitana Purcella.

– Być może uważasz, że to jest twój obowiązek – powiedział Glaudot do młodszego mężczyzny. – Ja wcale nie myślę, żeby był moim. A zanim pobiegniesz na statek, żeby zameldować o wszystkim swojemu wspaniałemu kapitanowi, powinieneś wiedzieć, że gdyby nie ja, to w tej chwili leżałbyś martwy jak kamień.

– Pan?

– Do diabła, tak. Ci Indianie, czy kim tam oni byli, zabili cię. Poprosiłem dziewczynę, żeby przywróciła cię do życia.

– Żeby przywróciła... – powtórzył Chandler, szeroko otwierając usta.

– Tak właściwie, to ona stworzyła twoją doskonałą kopię. Żywą kopię. Chandler, czy rozumiesz, co ona nam oferuje? Nieskończone bogactwo dzięki możliwości stwarzania z niczego -- i wieczne życie, dzięki możliwości kopiowania naszych ciał, za każdym razem kiedy umrzemy! I co teraz powiesz o swoim wspaniałym kapitanie?

Chandler zdawał się być zupełnie zdezorientowany. Pokręcił tylko głową, spoglądając najpierw na Glaudota, a następnie na Robin.

– Statek – wyjąkał. – Nasz obowiązek... kapitan...

Glaudot parsknął i zwrócił się do Robin:

– Zabij go.

– Zabić go?

– Tak. Ty powołałaś go do istnienia. Teraz odeślij go z tego istnienia w nicłość.

– Ale ja nie mogę tego zrobić. Kiedy już coś stworzę, nie mam nad tym dalszej kontroli. A poza tym... nie mogłabym nigdy zabić istoty ludzkiej, nawet gdybym potrafiła to robić.

W oczach Chandlera pojawił się strach.

– Panie Glaudot, niech pan posłucha... – zaczął mówić.

- Do diabła, to ty mnie posłuchaj - przerwał mu Glaudot. - Przywróciłem cię z powrotem do życia. Zaoferowałem ci udział w największej mocy, jaka kiedykolwiek była znana we wszechświecie. Odrzuciłeś to. Przykro mi, Chandler. Naprawdę jest mi cię żal. Ale chyba rozumiesz, że nie mogę pozwolić ci, wrócić na statek. Nie, dopóki nie dowiem się nieco więcej o tej planecie, dopóki nie zrozumieć dokładnie na czym polega moc tej dziewczyny i nie skonsoliduję swojej pozycji.

Nie czekając, aż usłyszy więcej, Chandler zaczął uciekać. Trzema wielkimi susami dopadł pasącego się dereszowatego rumaka i wskoczył mu na grzbiet, kopiąc piętami w boki. Ogier ruszył szybkim kłusem, zaś Glaudot wyciągnął blaster i wycelował go prosto w plecy uciekającego Chandlera.

Kiedy miał już Chandlera niemal idealnie na celu, Glaudot zaczął naciskać spust. Nagle jednak osadę spustu blastera, zaczęły otaczać cieniutkie, drobne pnącza. Były ich całe setki, zwijały się i pęzły po całej broni, dostając się również do urządzeń celowniczych, tak że Glaudot nie był w stanie dobrze wycelować. Do czasu zanim obrał blaster z pnączy, dziko przeklinając, dereszowaty rumak wyniósł już Chandlera z zasięgu wzroku, umożliwiając mu ucieczkę na statek.

Glaudot obrócił się szybko w stronę Robin.

- To twoja robota! - oskarżył ją gwałtownie. - To ty zrobiłaś. Dlaczego... powiedz mi, dlaczego?

- Chciałeś go zabić. Nie powinieneś tego robić.

- Ale teraz wszystko zrujnowałaś. Nie tylko moje plany. Ale nasze, czy tego nie rozumiesz? Mógłbym położyć ci świat u stóp. Mógłbym... słyszysz! Powiedz mi tylko -- czy jest gdzieś tutaj jakieś miejsce, w którym moglibyśmy się ukryć? Jakies miejsce, gdzie nas nie znajdą, nawet gdyby mocno nas szukali, w którym moglibyśmy pracować nad twoimi mocami i ustalić dokładnie, co mogą one zrobić, a czego nie?

- Chciałabym zobaczyć statek kosmiczny, proszę - odparła błagalnie Robin.

- Potem, obiecuję ci - powiedział Glaudot. - Przecież możemy sobie stworzyć tyle statków kosmicznych, ile będziemy chcieli -- z niczego. Czy nie tak?

- Tak - przyznała Robin. - Wydaje mi się, że tak. Ale nawet jeżeli ukryjemy się przed twoimi przyjaciółmi, mój przyjaciel Charlie nas znajdzie. Będzie się o mnie martwić i nas znajdzie. Widzisz, Charlie może zrobić wszystko to, co i ja.

Glaudot stał i wpatrywał się w nią, z gniewem w oczach. Po chwili jednak, gniew zastąpiło coś innego. Nie, pomyślał sobie. Charlie nie mógł zrobić tego wszystkiego, co ona. Ona była piękna. Jej na wpół nagie ciało, wzbudzało w nim pożądanie. Badawczo, gotów wycofać rękę, na pierwszą

oznakę sprzeciwu, dotknął jej nagiego ramienia. Nie było żadnej reakcji z jej strony. Po prostu stała tam, czekając na jakąś odpowiedź od niego.

– A więc, będziemy musieli ukryć się również przed Charliem. Proszę, uwierz mi – przekonywał ją Glaudot. – Ja jestem z kosmosu, a ty wiesz bardzo niewiele, o żyjących w nim ludziach. Chciałabyś dowiedzieć się więcej?

– Tak. Tak, chcę.

– A więc, zabierz mnie w takie miejsce, gdzie nawet Charlie będzie miał problemy, żeby nas znaleźć.

– Ale przecież on będzie wiedział, gdzie jesteście.

– Co to znaczy, że on będzie wiedział, gdzie jesteście. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że potraficie czytać nawzajem swoje myśli?

– O Boże, nie. Nic takiego. Ale kiedy byliśmy bardzo mali, pewnego razu powiedziałam Charliemu, że jeżeli kiedykolwiek się na niego wścieknę, ukryję się przed nim w kraju Cyklopów, i nigdy nie uda mu się mnie znaleźć, bo cyklopi go pożrą. To było po tym, jak przeczytaliśmy o Cyklopach w historii Odyseusza, w naszej encyklopedii. Rozumiesz teraz?

– Cyklopi, co? Naprawdę masz na myśli takich jednookich olbrzymów?

– Tak. Stworzyliśmy ich, ale oni nie chcą nas słuchać.

– Czy we dwoje moglibyśmy ukryć się gdzieś na ich ziemiach? To daleko stąd?

– Nie. Bardzo blisko. Ale, ja nie wiem, czy chcę...

– Jestem przecież człowiekiem z kosmosu, co nie? A ty przecież chcesz dowiedzieć się więcej o mieszkających w kosmosie ludziach i znajdujących się w nim innych planetach. A więc, chodź ze mną!

– Ale...

– Jeżeli powiesz nie, to ja wracam na statek, zaraz nim wystartujemy, i do końca życia, nigdy więcej już nie zobaczysz nikogo z kosmosu – zagroził jej Glaudot.

Robin nie odpowiedziała.

– A więc? – ostro rzucił Glaudot, jakby mu w ogóle nie zależało. – Czy chcesz, żebym to zrobił?

– Nie – przyznała po chwili Robin.

– No, to chodźmy. – Glaudot zdawał sobie sprawę, że muszą się pośpieszyć. Jadąc na tym rumaku, nieprawdopodobnym, wspaniałym, wyczarowanym z niczego rumaku, Chandler prawdopodobnie już dotarł do statku. Kilka słów, kilka pośpiesznych wyjaśnień, i Purcell wyruszy w pościg za Glaudotem z grupą uzbrojonych ludzi.

Znow Robin przez dłuższą chwilę milczała. Glaudot stał przed nią w napięciu, tak blisko niej, że gdyby wyciągnął ręce i to bez trudu otoczyłby ją ramionami. Ale to nie jest odpowiedni czas na to, powiedział sobie w duchu. Później... później...

– Zgoda – w końcu powiedziała Robin, ale w jej oczach widać było zaniepokojenie. – Zaprowadzę cię, do krainy Cyklopów.

W milczeniu, wyruszyli w drogę. Pół godziny później, jałowe tereny skaliste, ustąpiły miejsca zielonej dżungli, której drzewa były bez wątpienia największymi, jakie Glaudot kiedykolwiek widział na oczy, w

której trawa i pachnące dzikie kwiaty wyrastały ponad ich głowy. Glaudot jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki mały.

– **J**edną chwilę, panie Chandler – zaprotestował kapitan Purcell. – Wysłuchałem spokojnie wszystkiego, co miał mi pan do powiedzenia. Absolutnie wszystkiego, niezależnie od tego, jak bardzo niewiarygodnie by to brzmiało. Ale nie oczekuje pan chyba, że uwierzę...

– Proszę popatrzeć na konia. Skąd go wziąłem, sir?

– A więc, na tej planecie żyją konie. I co z tego?

– Ale ja widziałem, jak ta dziewczyna tworzy go zupełnie z niczego, sir!

– Naprawdę... panie Chandler.

– Widziałem również ciało. Moje ciało, panie kapitanie. Moje!

– Do diabła, człowieku! Glaudot wróciłby na statek z dziewczyną. On zna swoje zobowiązania wobec cywilizacji. On...

– Glaudot, sir? Naprawdę?

Purcell groźnie na niego spojrzał i w końcu stwierdził:

– Panie Chandler, albo pan i Glaudot dokonaliście najbardziej zdumiewającego odkrycia, od czasu kiedy człowiek oswoił swoje środowisko, stając się dzięki temu więcej, niż tylko stosunkowo mądrym zwierzęciem, albo jest pan największym kłamcą, jaki kiedykolwiek przemierzał otchłanie kosmosu.

Chandler odpowiedział kapitanowi bladym uśmiechem.

– Dlaczego pan sam się o tym nie przekona, sir?

– Na Boga – oznajmił Purcell, – zrobię to. McCreedy! – ryknął do interkomu. – Smith! Wong! W ciągu pół godziny chcę mieć grupę dwudziestu pięciu uzbrojonych ludzi, gotowych do opuszczenia statku i wyruszenia na ekspedycję.

I dokładnie pół godziny później, wyprawa wyruszyła, z kapitanem Purcellem i Chandlerem na czele. Chandler jechał na oklep na dereszowatym rumaku.

Kiedy Charlie i jego mała grupka Indian przekonali się, że cała akcja rozgrywa się na południu, tam gdzie podążyła Robin, szybko wyruszyli w tą stronę. Im dalej maszerowali, tym bardziej Charlie się martwił. Gdyby Robin osiągnęła jakieś sukcesy, gdyby udało jej się powstrzymać wyprawę wojenną i nawiązać jakiegoś rodzaju pokojowe relacje z przybyszami z kosmosu, wysłała by do nich gońca, żeby ich o tym powiadomić. Ale opustoszałe, usiane skałami tereny, rozciągające się przed nimi, były równie pozbawione życia, jak paleozoiczna Ziemia.

Charlie popędzał swoich ludzi niemiłosiernie. Był niestrudzonym piechurem, a ponieważ wojownicy żyli z polowania, potrafili dotrzymać mu kroku, niezależnie od podyktowanego tempa. W końcu Charlie zobaczył przed nimi, drugą grupę Indian. Cisnął na ziemię Karabin na Słonie Mannlichera i ruszył biegiem w ich kierunku.

– Tashtu! – zawołał. – Tashtu!

Indianin wybiegł mu naprzeciw szybkim sprintem.

– Panie – wydyszał, pozbawionym tchu głosem, – jedno stworzenie z nieba, ono umrzeć. Okazało się być człowiekiem.

– O czym ty mówisz? – spytał go Charlie.

Tashtu poprowadził go do grupy wojowników, nadal zebranych wokół ciała chorego Chandlera.

– Dlaczego? – zaczął dopytywać się Charlie, zdjęty zgrozą. – Dlaczego?

Tashtu opowiedział mu o wszystkim, co się wydarzyło. Jak wojownicy błędnie wzięli ubranego w skafander kosmiczny człowieka za potwora. Jak wystrzelono strzały, zanim zorientowali się, że jest inaczej. Jak przybyła Robin i odeszła z przybyszem z kosmosu.

– Do ich statku kosmicznego? – spytał Charlie.

– Tak, Panie. Tak właśnie oni mówić. – Tashtu wskazał ręką na wierzchołek skalnego wału. – Stamtąd, Panie, można go zobaczyć.

Charlie wspiął się na szczyt skały. Stojąc na nierównej grzędzie na wierzchołku, bez trudu dostrzegał niewielki, srebrzysty błysk statku kosmicznego -- i zbliżającą się grupę ludzi, prowadzonych przez kogoś jadącego na końskim grzbiecie. Charlie pośpieszył na dół, na wpół schodząc, na wpół ześlizgując się.

– Idą tutaj – oznajmił. – Może Robin jest razem z nimi. – Pamiętał, co się stało ostatnim razem i powiedział. – Reszta z was ma wrócić do swoich domów. Tashtu i ja wyjdziemy im naprzeciw.

– Ale, Panie... – rozpoczął Tashtu.

– Tak?

– Nie podobać mi się tamten człowiek. Nie ufałem mu.

– Dlaczego więc pozwoliłeś, aby Robin z nim poszła?

– Pozwolić jej, Panie? Ale z pewnością Robin, Pani Robin, nie posłuchać zwykłego...

– Już dobrze, już dobrze – przerwał mu Charlie. – Ale jest cała masa powodów, żeby odesłać resztę wojowników do domów. My sami damy sobie z tym radę, Tashtu, ty i ja. Nie chcę dalszego zabijania.

– Tak, Panie – odparł Tashtu.

Indianie szybko uformowali się w kolumnę marszową i odeszli. Charlie powiedział Tashtu, co widział ze szczytu skalnego wału. Potem jeszcze dodał:

– Chodźmy, wyjdźmy im na spotkanie.

I Charlie i Tashtu wyruszyli przez udręczone Dzikie Terytoria.

– **Z**bliża się do nas dwóch mężczyzn! – zawołał Chandler, zatrzymując dereszowatego rumaka.

Kapitan Purcell zasygnalizował swoim dwudziestu pięciu ludziom, żeby się zatrzymali, a ich porządną dwusereg stanął uformowany tuż za nim. Wkrótce wszyscy mogli już dostrzec dwie postaci, zmierzające w ich stronę, między skałami. Kiedy znaleźli się już dostatecznie blisko, kapitan Purcell pozdrowił ich:

– Przybывamy w pokoju!

– I my również przybywamy w pokoju! – zawołał Charlie. Chwilę później wymieniał już poważny uścisk dłoni z kapitanem Purcellem.

– Opowiedz kapitanowi o... o moich zwłokach – zwrócił się Chandler do Tashtu.

Charlie przyjrzał się uważniej Chandlerowi. Rozpoznał martwego człowieka.

– Robin cię stworzyła? – spytał z zaskoczeniem. – Nigdy wcześniej nie przywoływaliśmy martwych do życia.

– Czy naprawdę możesz to zrobić? – dopytywał się Purcell.

– Nie, nie naprawdę. Ale możemy stworzyć idealne kopie -- i te kopie żyją.

– Widzi pan? – tryumfalnie ogłosił Chandler.

Kapitan Purcell zażądał:

– Proszę mi pokazać.

Charlie stworzył brata bliźniaka dereszowatego ogiera. Kapitan Purcell osłupiał. Ten jeden przykład, całkowicie mu wystarczył, i nie pytał już więcej, tak jak przedtem robił to Glaudot.

– Gdzie jest Robin? – zapytał Charlie. – Na statku?

Chandler pokręcił przecząco głową.

– Glaudot z nią uciekł.

– Ale myślałem, że on był na statku!

– Glaudot zdezerterował – wyjaśnił Chandler. – Razem z dziewczyną. On chce jej dla siebie. Chce pozyskać jej potęgę.

Charlie poruszał się błyskawicznie. Prześlizgnął się przed Chandlera i złapał go za przód tuniki, skręcił ją w kłęb, szarpnął, lekko rozrywając i poderwał Chandlera do góry, niemal odrywając jego stopy od ziemi, zanim ktokolwiek zdołał się nawet ruszyć, aby go powstrzymać.

– Gdzie oni poszli? – spytał strasznym głosem. – Gdzie oni są. Zaprowadź mnie do nich.

– Ale ja nie... nie wiem! – zaprotestował Chandler, próbując wyrwać się z rąk Charliego, bez specjalnego sukcesu.

Dopiero kapitan Purcell zrobił krok naprzód, mocno złapał Charliego za ramię, odciągając go od Chandlera.

– Pamiętaj – powiedział twardo. – W pokoju. W pokoju.

Charlie stał z rękoma opuszczonymi po bokach. Jego twarz była zupełnie biała i widać było na niej olbrzymie napięcie.

– Dziewczyna – powiedział tylko.

– My wszyscy chcielibyśmy się dowiedzieć, gdzie zabrał ją Glaudot – odparł kapitan Purcell. – Pomożemy ci jej szukać. Powiedz mi tylko, czy dziewczyna mogłaby pójść z Glaudotem z własnej woli? Może, dzieląc z nim jego marzenia o potędze?

– Robin? – zawołał Charlie. – Nigdy!

– Proszę cię, chłopcze – powiedział kapitan Purcell. – Chcę, żebyś pomyślał. Chcę, żebyś rozważył wszystkie okoliczności. Ty i ta twoja dziewczyna, możecie posiadać niemal boskie moce, ale spędziliście całe

swoje dotychczasowe życie na mało cywilizowanej planecie i, no cóż -- szczerze mówiąc -- czy tak wyrafinowany mężczyzna jak Glaudot, nie mógłby dziewczynie zawrócić głowy? Nie mógłby jej tak zakręcić, żeby poszła razem z nim, przynajmniej chwilowo? Przyjmując teraz teoretycznie, że mógł to zrobić, on nie zna tej planety. Jest tego zresztą świadomy. Zdaje sobie również sprawę, że wyruszymy za nim w pościg. Być może dziewczyna powiedziała mu także o tobie. Powiedz mi, człowieku -- gdzie twoja dziewczyna mogłaby pójść, gdyby nie chciała, żebyś ją znalazł? Czy jest takie miejsce? Zanim odpowiesz, chciałbym żebyś wiedział, że sprawa, z którą mamy tutaj do czynienia, może być dużo poważniejsza, niż myślisz. Musimy wziąć pod uwagę nie tylko bezpieczeństwo dziewczyny... ale nie, nie zrozumiabyś tego...

- Chodzi panu o to - spytał Charlie, - że jeżeli ten człowiek, Glaudot, jakoś przekona Robin do użycia jej mocy na jego żądanie, mógłby chcieć zawładnąć wszystkim na całej Purpurze?

- Miałeś na myśli tę planetę? Nazywa się Purpura? Tak -- i znacznie więcej. Nie można nawet powiedzieć, jak daleko, taki człowiek jak Glaudot, mógłby zejść mając do dyspozycji taką potęgę. A przy możliwości tworzenia każdego dowolnego uzbrojenia, i wszystkich tych śmiertelnych środków, różnego rodzaju pocisków mogących je przenosić, mógłby rzucić wyzwanie całej galaktyce -- i wygrać!

Te słowa zabrzmiały dla Charliego dziwnie. Rozumiał je tylko mgliście. Ale Robin, pomyślał sobie, ona mogłaby to zrozumieć. Robin zawsze bardziej się interesowała tego rodzaju rzeczami. Robin, która niemal знаła tę swoją encyklopedię na pamięć, Robin...

- Niech pan posłucha - powiedział. - Niech pan mnie posłucha. Stworzyliśmy wszystkie żywe istoty na tej planecie. Stworzyliśmy Greków, Marynarzy Royal Navy, Ministrów, Rosjan, Kongresmenów i wszystko, co znaliśmy, gdzieś usłyszeliśmy lub przeczytaliśmy w naszej książce. Żyjemy dobrze ze wszystkimi z nich, oprócz...

- Tak - ponaglił go kapitan Purcell. - Mów dalej, mów dalej!

- Nie, ona nigdy by tam nie poszła. Zawsze się ich bardzo bała.

- Gdzie, człowieku? Gdzie?

- Nie, Robin nigdy by tego nie zrobiła. Po prostu by nie mogła.

Na Dzikich Terenach nie było specjalnie gorąco, ale kiedy Purcell czekał na odpowiedź Charliego, pot spływał mu po twarzy strumieniami.

- **P**okaż mi to! - krzyczał Glaudot, z zachwytem. - Pokaż mi to! Pokaż mi!

Stał razem z Robin na małej polance w Krainie Cyklopów. Wokół nich piętrzyły się stosy najrozmaitszych skarbów, których nagle Glaudot zaczął się od niej domagać. Do końca nawet sobie nie uświadamiał, dlaczego. Czuł, że jego żelazna samokontrola, ześlizguje się i pozwolił jej się teraz ześlizgnąć, ponieważ chociaż raz, jego cały system nerwowy opanowały dzikie żądze i wiedział tylko, że teraz może zerwać krępujące go kajdany, i -- mając tę dziewczynę -- mógł podbić całą galaktykę.

Otoczały ich stosy klejnotów, cennych metali, śmiertelnej broni, wszystko to Robin powołała do istnienia na rozkazy Glaudota, podczas gdy Glaudot uśmiechał się do niej. Jego uśmiech był niemal przerażający. Zaczęła już nawet nieco żałować, że przyszła tu razem z nim, ale przecież zawsze mogła odejść, co nie? W końcu nie była przykuta, do tego dziwnego człowieka z kosmosu. Ale sposób w jaki na nią patrzył, żądza widoczna w jego oczach, to też było przerażające. Nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Och, mogła przecież, na przykład, stworzyć kopię Charliego. Charlie powinien wiedzieć, co robić. Charlie by jej pomógł. Charlie co prawda nie czytał książki, tak jak czytała ją ona, ale Charlie był bardziej praktyczny. Tylko, co by zrobili z duplikatem Charliego, kiedy to wszystko się skończy? Nie można przecież czegoś u-nie-tworzyć...

– Statek kosmiczny – nagle powiedział Glaudot. – Czy możesz stworzyć z niczego, statek kosmiczny?

Robin skinęła powoli głową.

– Mogę. Tak, mogę. W książce jest mowa o wszystkim, jeśli chodzi o statki kosmiczne. Ale nie wiem, czy chcę to zrobić.

Glaudot puścił jej słowa mimo ucha. Nie było pośpiechu. Jednak myślał o przyszłości. Jeżeli Purcell mu się przeciwstawi, a Purcell mógł i był w stanie uciec statkiem eksploracyjnym, Glaudot będzie potrzebował jakiegoś innego statku, żeby wydostać się z tej planety...

– Dlaczego nie wiesz? – spytał, a jego głos w tym momencie był absolutnie spokojny. Mania, która go pochwyciła wcześniej, znajdowała się już całkowicie pod kontrolą, i do zadania tego pytania, motywowało go tylko jego żelazne dążenie do celu.

– Ja... ja nie wiem. Masz przecież już jeden statek kosmiczny. Zastanawiałam się więc, dlaczego. Po co potrzebny ci jeszcze jeden?

– To była tylko przelotna myśl – odpowiedział jej Glaudot. – Nieważne. Przykłąknął obok stosu świecących w słońcu klejnotów. Pozwolił im przelecieć mu pomiędzy palcami. Nie, żądza go jeszcze nie opuściła. Ciągle walczyła z jego wolą. A ponieważ wiedział, że będzie mógł ją pokonać w każdej chwili, lekkie popuszczanie wodzy swoim pragnieniom, sprawiało mu przyjemność.

Zaczerpnął pełną garść klejnotów. Znalazł wśród nich naszyjnik, podszedł bliżej do Robin i przełożył go jej przez głowę. Na tle opalonego przez słońce ciała dziewczyny, perły wydawały się wręcz śnieżno-białe. Perłowy wisiorek sięgał niemal do początku ciemnej doliny, przepięknie przecinającej jej klatkę piersiową i znikającej wraz z otaczającymi ją z obu stron opalonymi wypukłościami ciała, pod stanikiem ze złotej siateczki. Glaudot dotknął wisiorka. Jego palce musnęły jej ciało. Gwałtownie, przyciągnął do siebie zaskoczoną Robin i pożądliwie pocałował jej wargi.

Przez moment pozostawała bierna. Ani nie oddała jego żaru, ani z nim nie walczyła. Ale kiedy jego dłonie zaczęły głaskać jej plecy, odsunęła się od niego i stanęła w pewnej odległości, patrząc na niego uważnie. Zdjęła z szyi naszyjnik i rzuciła mu pod nogi.

– Nigdy więcej nie chcę czegoś takiego – oznajmiła. – Dlaczego zrobiłeś... to, co zrobiłeś?

Poczuł rozlewający się w żyłach ogień. Pragnął go opanować. Potrzebował w tej chwili całej swojej samokontroli. Absolutnie całej. Ale ta dziewczyna, w pełnym rozkwicie swojej młodości... Nie, ona nie była dziewczyną, nie dla Glaudota. Nie wolno mu myśleć o niej, jako o dziewczynie. Ona była potęgą. A ta potęga będzie należała do niego -- jeżeli nie zrazi do siebie dziewczynę.

– Robimy takie rzeczy na mojej planecie – powiedział jej. – To jest coś w rodzaju hołdu dla piękna. Mam nadzieję, że nie wzięłaś tego zbyt mocno do siebie.

– Ja... to było dziwne. Z Charliem czasami, byłoby to w porządku... Ale z Charliem, to jest... co innego. Proszę cię, nie dotykaj mnie ponownie. Proszę, obiecaj mi to.

Glaudot wzruszył ramionami.

– Jeżeli sobie tego życzysz, moje drogie dziecko, jeżeli sobie tego życzysz...

Podwójne pragnienia opuściły go teraz, naprawdę uleciały. Wiedział to z całą pewnością. Ponieważ jego samokontrola była zagrożona bardziej przez jego własne, głupie pożądanie, niż przez tę niewinną dziewczynę. Musiał pomyśleć. Jasno. Bardziej jasno, niż kiedykolwiek wcześniej. Potrzebował tej dziewczyny jako sojusznika. Nie jako niewolnicy. To ona sama musiała chcieć. Musiała z nim współpracować. Dać jej wypaczony obraz reszty galaktyki? Przekonać ją, że panujące w galaktyce rządy były złe, totalitarne, kiedy tak naprawdę miały charakter demokratyczny? Przekonać ją, że tylko on sam, mając do dyspozycji jej nieograniczoną moc, mógłby naprawić nieprawidłowości na tysiącach planet? Była wystarczająco naiwna, żeby mógł spróbować takiego podejścia, pomyślał sobie. Poza tym mógłby uderzyć do niej od strony czegoś związanego z tworzeniem -- na przykład, może kreacja moralna. A tworzenie, było czymś, co powinna zrozumieć. Potem, mając ją za partnera, mógłby szybko zbudować maszynę wojenną, której połączone siły całej galaktyki, nie byłyby w stanie się przeciwstawić. Jej moc również, jak sobie to nagle uświadomił, mogłoby obejmować także nieskończoną liczbę żołnierzy, do wykonywania obowiązków okupacyjnych i policyjnych. Taka potęga byłaby niezrównana.

– Jest coś, o czym chciałem ci opowiedzieć – rozpoczął. – To zajmie nam sporo czasu, i dobrze by było, gdyby nic nam przy tym nie przeszkadzało. To dlatego właśnie prosiłem, żebyś mnie tutaj przyprowadziła.

– A o czym chciałeś mi opowiedzieć?

Zanim Glaudot zdołał jej odpowiedzieć, usłyszeli niezbyt daleko w lesie, trzeszczące, chrupiące odgłosy. Zabrzmiały one dla Glaudota tak, jakby ktoś wyrwał z korzeniami drzewa i od niechcenia odrzucał jakieś ogromne głązy.

– Cyklopi! – Wrzasnęła z przerażeniem Robin i zaczęła uciekać.

Glaudot pobiegł za nią, potykając się, podnosząc na nogi i pędząc dalej w szaleńczym pościgu. Nie może jej pozwolić na ucieczkę od siebie. Musi biec za nią...

Żadna żywa istota, przekonywał sam siebie, podczas biegu, nie mogła wyrwać z korzeniami tych olbrzymich drzew. Oczywiście trafiały się między nimi młodsze egzemplarze, ale nawet młode drzewa miały rozmiary rozłożystych dębów i klonów, na Ziemi.

Coś zaryczało z tyłu. Dźwięk miał wysokość niemalże zbyt niską dla ludzkiego ucha. Obrócił się do tyłu. Ziemia trzęsła się, a jej wielkie grudy, wylatywały na wszystkie strony. Gołe pnie drzew nagle rozsunęły się na boki, a młode drzewo, o rozmiarach potężnego dębu, uniosło się w niebo.

Za nim, wywijając nim, a potem odrzucając je na bok, pojawił się nagi mężczyzna, którego głowa wznosiła się niewiarygodnie wysoko, na wysokość stu pięćdziesięciu stóp. Trzęsąc się w ataku przerażenia, Glaudot popatrzył do góry, na olbrzymią, dziką twarz. Po jej obu stronach spływały skudłone włosy, splątana broda pełna była brudu i odłamków gałęzi drzew. Była to najdziksza twarz, jaką Glaudot widział kiedykolwiek w życiu.

Znajdowało się na niej tylko jedno oko, jedno ogromne oko, pośrodku twarzy. Miało ze trzy stopy średnicy!

– Cyklop! – znowu wrzasnęła Robin.

Chwilę później stworzenie nachyliło się i jednym zamaszystym ruchem wielkiej prawej ręki, złapało i uniosło do góry, dwa małe stworzenia, znajdujące się u jego stóp. Potem, wyrывая z korzeniami młode drzewa o rozmiarach dębów, stworzenie pobiegło z powrotem w kierunku skalistych wzgórz, gdzie mieszkało, na podobieństwo starożytnych Cyklopów, na których Robin i Charlie naiwnie je wzorowali, w jaskini spoglądającej z góry, na morze.

– **G**dzie, człowieku? Gdzie? – dopytywał się kapitan Purcell.

– Nie wiem – odparł Charlie. – Naprawdę, nie wydaje mi się, żeby ona mogła to zrobić. Rozumie pan, ona zawsze, kiedy wdaliśmy się jakąś kłótnię, groziła mi, że tam ucieknie, ale zazwyczaj robiła to na wpół żartem. Przecież wie, jakie to niebezpieczne...

– Ale gdzie? Nie wiesz, że tonący brzytwy się chwyta? Czy to jeszcze nie dotarło do ciebie -- cała galaktyka może być w niebezpieczeństwie!

Charlie westchnął.

– Ja nie rozumiem za dużo z tej pańskiej galaktyki. Robin lepiej zna encyklopedię... ona powinna zrozumieć. A ja... ja tylko chcę, żeby Robin była bezpieczna. – Złapał głębszy oddech i oznajmił: – Ona zawsze groziła mi, że ucieknie do Krainy Cyklopów.

– A więc, natychmiast nas tam zaprowadź – odpowiedział mu kapitan Purcell...

Gdyby teraz zaczął wrzeszczeć i wyć, popadłby w obłęd. Zdawał sobie z tego sprawę. Próbował więc utrzymać swój strach w ryzach. Czuł się tak, jakby wisiał na olbrzymim wahadle, bujającym się w miarę jak wymachiwała nimi olbrzymia ręka jednookiego olbrzymia. Robin dzieliła razem z nim to więzienie w zaciśniętej dłoni. Jej włosy powiewały na wietrze, kiedy olbrzymie ramię kołysało się w rytm ogromnych kroków giganta.

– Czy te stworzenia zjadają ludzi? – udało mu się spytać Robin. Musiał głośno krzyczeć, ponieważ wiatr tworzony przez ruch Cyklopa, był znaczny. Ziemia przelatowała szaleńczo gdzieś daleko, daleko, pod nimi, tworząc wirującą płataninę łąt zieleni, żółci i brązu.

– Stworzyliśmy ich do tego, by jedli ludzi. Tak jak w książce. Byliśmy przecież tylko dziećmi. To wydawało się... wydawało się takie ekscytujące.

Cyklop dalej sadził olbrzymimi susami, wyrывая stojące mu na drodze drzewa razem z korzeniami. Po pewnym czasie, zaczął wspinać się na skalisty stok, i z większej wysokości Glaudot dostrzegł brzegi nieznanego morza. W końcu Cyklop dotarł do wejścia do jaskini, odtoczył ogromny głaz i zabrał więźniów do środka.

Glaudot usłyszał beczenie owiec.

– **P**rzecież tutaj jest cała fortuna, w klejnotach! – wykrzyknął kapitan Purcell. Znaleźli polanę w lesie, na której Robin stworzyła dla Glaudota królewski okup. Ludzie otoczyli go kołem, wielu z nich wyglądało na oszołomionych widokiem takiego bogactwa.

Charlie powiedział:

– Panie kapitanie, niech pan popatrzy.

Purcell podszedł do niego i zobaczył szeroki pokot powalonych drzew, ciągnący się daleko w las i ginący z pola widzenia za zakrętem.

– Co tędy przeszło? – wysapał z trudem.

– Cyklop – ponuro odparł Charlie. – Złapał ich Cyklop. Panie kapitanie, musimy się pośpieszyć. Proszę posłuchać, mamy teraz dwa konie. Mógłbym stworzyć konie dla wszystkich z nas, ale taka gromada ludzi, jadących w góry, prawdopodobnie zostałaby dostrzeżona przez Cyklopów. Pan ruszy na pieszo, na czele swoich ludzi. Niech jeden z nich pojedzie ze mną konno. – Mówiąc to, Charlie odpiął Mannlichera i odłożył go na bok.

– Och, chcesz może jakąś bardziej nowoczesną broń? – spytał go Purcell.

Charlie pokręcił przecząco głową.

– Dla zabawy, Robin i ja stworzyliśmy Cyklopów odpornych na wszelkie rodzaje ataków, poza tym wspomnianym w encyklopedii -- wbiciem pała w ich jedyne oko. Aby chronić wszystkich innych ludzi, których stworzyliśmy, Cyklopi zostali tak skonstruowani, aby nigdy nie chcieli opuścić swoich terenów. Tak więc, jeżeli uda nam się wydostać stąd Robin i Glaudota, powinni być bezpieczni. No to, kto się zgłasza na ochotnika?

– Ja już siedziałem na końskim grzbiecie – zareagował Chandler. Charlie skinął głową i wsiadł na drugiego dereszowatego rumaka.

– Moi ludzie nadejdą tak szybko, jak tylko dadzą radę maszerować – obiecał kapitan Purcell.

Charlie skinął głową. Nie zawracał sobie głowy informowaniem kapitana, że Cyklopi w ciągu kilku minut są w stanie pokonać odległość, jakiej grupa maszerujących ludzi nie przejdzie przez wiele godzin. Ruszyli razem z Chandlerem szybkim galopem.

– **C**zy on nas zje od razu? – spytał Glaudot. Dziwne, ale zupełnie nie czuł strachu. Całkowicie nieoczekiwana natura ich, właśnie pozostającego w toku, porwania, wydawała mu się niemal zabawna.

Robin pokręciła przecząco głową.

– Wydaje mi się, że nie. Prawdopodobnie upije się i pójdzie spać. Stworzyliśmy Cyklopów jako straszne pijaczyny.

Cyklop odstawił swój kij, którym podpierał się podczas wędrówki, opierając go o ścianę. Laska miała grubość pnia całkiem wyrosniętego drzewa. Potem olbrzym uwalnił się na legowisku, i na wpół leżąc wypił ogromną czarę wina. W oświetlonej światłem pochodni jaskini, kotłowało się siedemdziesiąt, czy osiemdziesiąt owiec, rozkładających się na noc, po tym jak trzy z nich dostarczyły posiłku dla giganta, który pożarł je na surowo.

– Czy nie da się czegoś zrobić? – dopytywał się Glaudot, którego sny o podboju galaktyki zaczęły rozwiewać się wobec perspektywy pożarcia żywcem.

– Zachowaj siły na czas, kiedy on uśnie – odparła Robin. – Oczywiście, że jest coś, co możemy zrobić.

– Tak? Co?

– Popatrz na tę jego laskę. Widzisz, że jej koniec zwęża się niemal w szpic? Utwardzimy go w ogniu -- i wybijemy mu jedyne oko. Potem, rano, kiedy odtoczy ten kamień z wejścia jaskini, i na ślepo wyprowadzi swoje stado na dwór, ukryjemy się między owcami i uciekniemy stąd. A przynajmniej, tak to stało się w encyklopedii.

Glaudot przełknął mocno ślinę. Nigdy nie miał w sobie za wiele fizycznej odwagi ...

Dokładnie w tej właśnie chwili, usłyszeli głośny charkoczący, jęczący dźwięk. Robin oznajmiła:

– Posłuchaj, usnął. Chrapie.

– Ja... nie wydaje mi się, żeby to było możliwe...

– On ma zamiar zjeść nas na śniadanie. Chodź.

Wstali, szybko oraz w zupełnej ciszy, i zaczęli podkradać się do laski. Miała grubość młodego drzewa. Prawdopodobnie będzie więc ciężka, być może zbyt ciężka, aby dali radę ją unieść.

– Teraz, tylko spokojnie – powiedziała Robin. Zwinnie wspięła się po wystęпах na ścianie jaskini i odepchnęła wielką laskę. Następnie zeskoczyła na podłogę i złapała za przód potężnego drąga, podczas gdy Glaudot uchwycił za jego koniec.

– Ciężka – wysapał Glaudot.

- Ale damy radę ją unieść, jak... jak mi się wydaje.
 - Spróbujemy ją podnieść – powiedział Glaudot.
- Spróbowali. Nawet wspólnymi siłami, ledwie byli w stanie unieść laskę do góry.
- Spróbujemy uderzyć tym w coś – zaproponował Glaudot.
- Nie mogli tego zrobić. Robin westchnęła. Położyli laskę, powoli i cicho. Do wykonania tej pracy potrzeba było więcej ludzi, niż tylko ich dwójka. Dwóch, może trzech dodatkowych mężczyzn.
- Czekamy – ponuro powiedział Glaudot.
- Robin popatrzyła z frustracją do góry, na dziurę w sklepieniu, przez którą dym z ogniska Cyklopa wydostawał się na dwór, w zbierającą się noc. Była beznadziejnie wysoko, chociaż pomoc z zewnątrz, mogłaby się do nich przez nią dostać. Ale czy mogli oczekiwać, że jakaś pomoc nadejdzie... ?
- Czekamy – powtórzył Glaudot, pozbawionym nadziei głosem.
 - Do śniadania – odparła Robin.
- Glaudot nagle załamał się.
- Nie chcę umierać! – zaszlochał. – Nie chcę umierać...
-

Najciemniejsze z trzech słońc Purpury wzeszło nad horyzontem, oświetlając całą okolicę z jasnością trzech, albo czterech księżyców w pełni, na Ziemi.

- Mówiłem ci, że czułem dym! – zawołał Charlie, tryumfalnie wskazując na cienką smużkę dymu, wiszącą w chłodnym powietrzu, na tle rozświetlonego słabym światłem słonecznym nieba.

- Czy to ognisko? – spytał Chandler.

- Prawdopodobnie dymnik. Chodźmy.

Zostawili oba wierzchowce, aby paść się u podstawy skalistego zbocza. Ruszyli po nim do góry. W pewnej chwili Chandler potknął się i zaczął ześlizgiwać po skale, na dół, ale Charlie chwycił go za ramię, niemal wrywając mu je ze stawu. Charlie pomyślał sobie: musimy się pośpieszyć. Ich życie może od tego zależeć. Być może, nawet już w tej chwili jest za późno...

Dym wylatujący z dziury nad paleniskiem, szczypał w oczy. Stał się teraz bardzo intensywny. Nagle Charlie uświadomił sobie narastającą stromiznę skały. Zbocze stało się bardzo strome, niemal pionowe.

- Nie dam rady... nie uda mi się wejść już dalej! – wyjęczał Chandler.

- Musimy to zrobić, człowieku. Musimy.

- **B**udzi się – powiedziała Robin.

Glaudot załamał się zupełnie. Pewny siebie niedoszły zdobywca, teraz został zredukowany do poziomu trzęsącego się i jęczącego tchórza.

- M... może być głodny. O Boże, on może być głodny...

Ale Cyklop tylko odwrócił się we śnie na drugi bok i chrapał dalej. Ogień niemal się wypalił. Owce odpoczywały. Robin rozmyślała o

Charliem, który pewnie był wiele mil stąd. Dzisiejszej nocy, księżyc powinien wejść późno, pomyślała sobie. Często między sobą nazywali, najsłabsze ze słońc Purpury, księżycem, pomimo że tak naprawdę była to gwiazda. Potem wejdą pozostałe i nadejdzie świt. Jeżeli Cyklop będzie głodny i będzie miał ochotę na zmianę diety...

– **A**le przecież schodząc tam, na dół, udusisz się na śmierć – zaprotestował Chandler.

– To jest tylko dziura na dym. Nikt w niej nie udusi się na śmierć.

– Czy widzisz, co jest pod nią?

– Nie, za dużo dymu.

– To skąd wiesz, z jak wysoka spadniemy?

– Nie wiem. Będę musiał podjąć to ryzyko. Ale przecież, ty nie musisz iść ze mną.

– Pójdę wszędzie tam gdzie ty. W końcu po to zgłosiłem się na ochotnika.

– Dobrze. Jest już prawie ranek, tak więc do tej pory, ogień na dole, pewnie niemal się wypalił. Jeżeli wylądujesz w żarze, natychmiast uskocz na bok. Zrozumiałeś?

– Tak – potwierdził Chandler.

Nie tracąc czasu na kolejne słowa, Charlie nagle opuścił się w pełną dymu dziurę, a następnie rozluźnił chwyt.

Jaskinię rozświecały tylko przyćmione płomienie ognia. Wylądował w palenisku i szybko z niego wyskoczył. Iskry poleciały na wszystkie strony. Któryś z baranów zabeczał. Na tle jednej ze ścian jaskini, Charlie zobaczył olbrzymie ciało śpiącego Cyklopa. Usłyszał coś za plecami i odwrócił się szybko. To był Chandler. Poleciały kolejne iskry. Owca ponownie zabeczała, tym razem nieco głośniejsze.

Podeszli do nich Robin i przybysz z kosmosu, prawdopodobnie Glaudot. Na twarzy Robin, widać było zdumienie. Glaudot wyglądał jak dziecko pogrążone w grozie, którą nie do końca rozumiało.

Charlie przez chwilę przycisnął mocno Robin do siebie.

– Cichutko – wyszeptał. – Posłuchajcie.

To niewielkie zamieszanie, zaniepokoiło Cyklopa. Na wpół się obudził. Z ust wydobywało mu się jakieś mamrotanie. Jedno z wielkich ramion uniosło się i opadło. Mogłoby zmiażdżyć całą ich czwórkę za jednym zamachem.

– Mamy tutaj drąg – powiedziała Robin. – Dokładnie tak samo jak w książce.

Wzięli go między siebie i zaczęli ciągnąć do żaru paleniska. Glaudot, który złapał za tył, przeciągnął swój koniec po podłodze. Drewno zaszurało po nagiej skale.

– Podnieś to do góry – polecił Charlie.

Glaudot zachichotał, a potem zaczął płakać. Wpadł w zupełną histerię.

– Zrobimy to we troje? – spytał Charlie.

– Nie wiem – odpowiedziała mu Robin.

Glaudot zaczął śmiać się histerycznie. Cyklop poruszył się. To pomogło Charliemu podjąć decyzję. Ostrożnie położył swój koniec laski olbrzyma na podłodze i podszedł do Glaudota. Uważnie i precyzyjnie wałnął przybysza z kosmosu ciosem na punkt w szczękę, i tamten opadł mu w ramiona.

Potem wrócili do pala i dociągnęli go do ognia. Charlie kawałkiem węgla drzewnego przegrzebał i zgarnął razem żar. Zaczęli przypalać czubek olbrzymiej laski.

– Musimy się pośpieszyć – powiedziała Robin.

– Skóra jego powieki, to niemal pancerna płyta – odparł Charlie. – musimy mieć pewność, że czubek pala nie ześlizgnie się na bok.

Owce zaczęły się poruszać i coraz bardziej się ożywiały. Na dworze już świtało. Cyklop ziewnął przez sen i wyciągnął ramię, wielkości pnia dębu.

– Pośpieszmy się! – ponagliła Robin.

Cyklop przewrócił się, odwracając twarzą do ściany.

– Oko! – jęknął Charlie. – Nie uda nam się teraz dosięgnąć oka.

Nie przerwali jednak swojej pracy. Nie mogli zrobić niczego innego. Drewno na powierzchni wielkiego pala, przybrało ciemny wiśniowo-czerwony kolor. W końcu Charlie stwierdził:

– Wydaje mi się, że to wystarczy.

Cyklop ponownie się przewrócił. Mamy szczęście, pomyślał sobie Charlie, ale niemal natychmiast zmienił zdanie. Cyklop usiadł, sennie mrugając okiem. Ziewnął i przeciągnął się potężnie, a potem przez kilka chwil przypatrywał się ogłupiałym spojrzeniem, stada owiec. Charlie i pozostali stali zmrożeni tym widokiem, nie ośmielając się nawet drgnąć. Cyklop przejechał przez owce ręką, i dwie z nich uderzyły o ścianę z przerażonym przedśmiertnym beczeniem i trzaskiem łamanych kości. Olbrzym rozejrzał się pustym wzrokiem i zmrużył swoje wielkie oko. W oczywisty sposób rozglądał się za czymś innym do jedzenia. Nie chciał owcy. Ludzie...

Opadł na czworaka i zaczął macać dłońmi po podłodze. Przesunął ręką na zewnątrz. Dłoń klapnęła potężnie o podłogę, omijając Robin zaledwie o parę stóp. Cyklop przesunął się na kolanach do przodu, szukając, a z pyska ciekła mu ślina. Był głodny i miał ochotę na jedzenie...

Ręka przesunęła się ponownie, chwytając owcę. Dłoń uniosła się do góry i owca zabeczała. Szczęki zacisnęły się tylko raz, rozległo się chrupnięcie i owca znikła. Cyklop otarł z warg ślady krwi. Ręka poszła na dół, coraz bliżej...

– **P**al! – wszeptał dziko Charlie.

Podnieśli go do góry, i ustawili w poziomie. Charlie trzymał pal tuż za czubkiem, Robin zajęła pozycję za nim, zaś Chandler na końcu. Dźgnęli nim Cyklopa w rękę, w chwili kiedy znowu przesuwawała się ona po podłodze. Olbrzym zaryczał z bólu i wściekłości, i plasnął obiema rękoma o skalną podłogę, próbując zmiażdżyć swoich ciemieżycieli.

Właśnie wtedy Glaudot odzyskał świadomość i stanął chwiejnie na nogach.

– Nie ruszaj się! – ostrzegł go Charlie, ryzykując ujawnienie miejsca w którym stał, w próbie uratowania życia Glaudota.

Ale Glaudot, widząc ogromne stworzenie, tak blisko siebie, zaczął uciekać. Sprawiało to wrażenie gonitwy w kole dla wiewiórek. Glaudot biegł i biegł, wydawało się jakby w miejscu, do czasu gdy Cyklop sięgnął w jego stronę dłonią i poderwał go z podłogi. Zapiszczał przerażony. Rozległo się podobne chrupnięcie jak wcześniej -- i Glaudota już nie było...

Teraz Cyklop, którego apetyt wyraźnie się zaostrzył, zaczął bardziej energicznie przeszukiwać podłogę, szaleńczo młócąc dłońmi i kolanami. Wielka głowa zawisała nisko, tuż nad podłogą, a jego jedyne oko wyteżało się jak u krótkowidza. W pewnej chwili potężna ręka pacnęła w skałę tak blisko nich, że Charlie poczuł, jak trzęsie się podłoga. Wycofywali się powoli w stronę ścian jaskini, a potwór niestrudzenie podążał za nimi. Ciągłe trzymali między sobą ciężki pał, ale nie zebrali jeszcze wystarczająco dużo sił ani odwagi, żeby postawić wszystko na swoją jedyną próbę. Jeżeli będzie nieudana...

Wycofali się już tak daleko, jak się dało. Za ich plecami była już tylko ściana. Potwór zbliżał się, z nisko opuszczoną głową, nosem praktycznie ocierając o ziemię. Zamiótł po podłodze gigantyczną łapą, zawadzając koniuszkiem palca Charliego, który niemal został znokautowany tym ciosem. Otrząsnął się kręcąc głową i wziął kilka głębokich wdechów, żeby wróciły mu siły.

– Teraz – zakomenderował, kiedy ręka odchyliła się do tyłu, aby rozpocząć kolejny zamaszysty łuk.

Pobiegli z pałem prosto przed siebie, w kierunku jedyne go oka stworzenia.

Charlie z trudem tylko przypominał sobie później chwilę kontaktu, powódź płynów z gałki ocznej i krwi, która miała miejsce potem, czy też dzikie ryki i szaleńcze szarże potwora, w tą i z powrotem, na ślepo, po całej jaskini, pomiędzy beczącymi i uciekającymi w popłochu owcami. Po chwili oszalały Cyklop pobiegł do wejścia jaskini, odwalił wielki głaz, służący za drzwi, i wybiegł na dwór, w światło dnia.

Ruszył w dół, rozbijając wszystkie przeszkody, i zatrzymał się dopiero, kiedy, poobijany i pokrwawiony, dotarł do morza. Stanął na chwilę na wąskim pasku plaży, czerpiąc pełne garście wody do przemycia swojego zranionego oka. Potem rzucił się w przybrzeżne fale.

Wyszli z jaskini i przyglądali się temu. Ruszyli w dół zbocza, podczas gdy potwór zagłębiał się coraz bardziej w morzu. W końcu ponad fale wystawała już tylko wielka głowa.

Dotarli nad brzeg.

Cyklop zniknął.

W kilka chwil później, dołączył do nich kapitan Purcell, razem z pozostałymi.

– **C**zy to znaczy, że nie chcecie wracać z nami na Ziemię? – spytał Purcell później, na statku.

– Nie, jeśli wszystko, co pan nam powiedział, jest prawdą – odparł Charlie. – Jesteśmy tutaj potrzebni.

– Tak – zgodził się Purcell. – Z waszą pomocą, galaktyka może zmienić się w świat dobrobytu, dla wszystkich.

– Poza tym, musimy pomyśleć o nauce dzieci, żeby przejęły to, po naszym odejściu. – Popatrzyła na Charliego. Zarumieniła się. – Na przykład naszych własnych – powiedziała bardzo szybko, a potem dodała:

– Panie kapitanie, czy może nam pan udzielić ślubu?

Purcell rozpromienił się, skinął potwierdzająco głową, a potem to zrobił.

Później, Charlie zapytał:

– Kochanie, to chyba nie jest najważniejsza rzecz, jakiej nam tutaj brakowało?

Robin pokręciła przecząco głową.

– Bardzo mi się spodobała – oznajmiła.

KONIEC